



Dziś w numerze: ● KPN — diagnoza społeczna (1-2) ● Mniej czerwono na czarnym łądzie (4) ● Nie wstydźmy się odnalezionych talentów Polaków (7) ● III wojna nie wywołana (5) ● Poeci i emerycy (11) ● Na nowo wojna z cenzurą (12)

Nr 41/42

Opinie

27 grudnia 1990

Cena 1800 zł

TV i %...

1. Wyniki i społeczne konsekwencje wyborów

W drugiej turze wyborów prezydenckich wygrał Lech Wałęsa, uzyskując 10,6 mln ważnych głosów na 27,5 mln uprawnionych do głosowania. 16,9 mln osób nie wzięło udziału w wyborach, albo nie głosowało na Wałęsę. Głosy na Wałęsę oddało 38,5% uprawnionych do głosowania (dorosłej populacji).

Znaczna część głosów, którą uzyskał Wałęsa, miała charakter negatywny; oblicza się, że około 4 mln z nich są to głosy „przeciw Tymieńskiemu”, zaś około 2 mln to głosy przeciw Mazowieckiemu” (oddane na Wałęsę w I turze i powtórzone w II). Wynika z tego, że głosów pozytywnych — za Wałęsą, popierających jego osobę i program, padło około 5 mln — czyli ok. 18% dorosłej populacji. Jest to na pewno znacznie więcej, niż uzyskał którykolwiek z kandydatów (po odliczeniu przypuszczalnych głosów negatywnych Tymieński otrzymał poparcie około 12% dorosłej populacji, Mazowiecki około 7% dorosłej populacji; wszystkich głosów, razem z negatywnymi, uzyskali odpowiednio 13,4% i 10,5% dorosłej populacji). Jest to jednak bardzo mało: Wałęsa u progu prezydentury może liczyć na poparcie co piątego dorosłego Polaka; rok temu Mazowiecki, obejmując urząd premiera, według wiarygodnych szacunków mógł liczyć na poparcie czterech z każdej piątki dorosłych Polaków.

W zależności od tego, jakie będzie oblicze polityczne powołanego przez Wałęsę rządu (skład osobowy i program), poparcie może ulec znacznej zmianie. Porozumienie z ROAD przyniesie wzrost pozytywnego poparcia tych, którzy w I turze głosowali na Mazowieckiego, a w II przeciw Tymieńskiemu — wynoszący ok. 2,4 mln osób (9% dorosłej populacji). Odrzucenie porozumienia z ROAD zapewnia Wałęsie



dokończenie na str. 2

Nr indeksu 368032

dokończenie ze str. 1

poparcie ok. 2 mln (7,5% dorosłej populacji) tych, którzy w I turze oddali głosy na Wałęsę przeciwko Mazowieckiemu. Ewentualne porozumienie Wałęsy z PSL i KPN daje mu dalsze ok. 1,5 mln (5,5% dorosłej populacji), ale prawdopodobnie co najmniej dwa razy więcej, ponieważ ilość głosujących na Bartoszczy i Moczulskiego była znacznie mniejsza, niż rzeczywiste poparcie społeczne dla PSL i KPN. W zależności więc od kombinacji politycznej, na jaką zdecyduje się Wałęsa — rozpoczynał będzie rządy mając pozytywne poparcie od 7 do 9 mln osób czyli nie mniej niż 1/4 lecz nie więcej niż 1/3 dorosłej populacji.

Trudniej z równą dokładnością obliczyć jaką część społeczeństwa jest stanowczo przeciw Wałęsie. Na pewno są to ci, którzy głosowali na Tymiąńskiego (3,7 mln osób), oraz ci, którzy wzięli udział w I turze, ale zbojkotowali II, nie chcąc głosować ani na Wałęsę, ani na Tymiąńskiego (2 mln osób). Dodać do tego należy ok. 1/4 tych, którzy nie wzięli udziału w I turze (2,7 mln). Razem daje to 8,4 mln osób (30,5% dorosłej populacji), stanowiących bazę dla antywałęsowskiej opozycji. Obok nich w opozycji do Wałęsy znajdują się te ugrupowania, które w II turze głosowały na Wałęsę, ale nie zostaną objęte powyborczym sojuszem rządowym; daje do dalsze od 2 mln do 5 mln osób (7,5 do 18% dorosłej populacji). Można więc założyć, że baza opozycji może objąć nawet ok. 40% dorosłej populacji. Na pewno nie będzie mniejsza, niż baza na której opierać się będzie prezydent i rząd.

Zważywszy, że pogarszające się warunki bytowania i radykalizacja społeczeństwa tworzący będą nastroje opozycyjne w tej części społeczeństwa, która obecnie jest niezainteresowana lub neutralna, a także że udzielone już poparcie dla Wałęsy będzie topnieć, już na samym starcie kadencji pozycja Prezydenta będzie bardzo trudna i zapewne coraz słabsza. Brak wystarczającego poparcia społecznego uniemożliwi realizację programów rządowych, co tym razem prowadzić będzie i do klęski prezydenta.

2. Linia wyborcza KPN, jej plusy i minusy

Wysuwając kandydaturę Leszka Moczulskiego, KPN nie liczyła na zwycięstwo. Głównym celem

naszego uczestnictwa w wyborach było przedstawienie naszego programu społeczeństwu i uzyskanie dobrej pozycji przed zbliżającymi się wyborami parlamentarnymi. Wymagało to przede wszystkim ukierunkowania kampanii wyborczej na środowiska, do tej pory dla KPN obce, a nawet niechętne. Podstawowym zadaniem było przełamanie stereotypowego wizerunku KPN, forsowanego od kilkunastu lat przez środki masowego przekazu, a więc wizerunku awanturniczej i obsesyjnej grupki, pozbawionej jakiegokolwiek programu i zainteresowanej jedynie urzędzaniem burd ulicznych. Wymagało to bardzo spokojnego, a zarazem stanowczego prowadzenia kampanii, skupienia się na przedstawianiu programu, całkowitego wstrzymania się od ataków personalnych przy podkreślaniu zasadniczych różnic programowych wreszcie ukazy-

Trzeba zwrócić uwagę, że Tymiąński — niezależnie od tego, czy za nim ktoś stał i kto to był — działał przede wszystkim przeciwko KPN. Klęska Mazowieckiego od początku była przesądzona; Tymiąński nadał jej tylko bardziej spektakularny charakter. Zabierał on jednak głosy nie Mazowieckiemu, a przede wszystkim Moczulskiemu. Tak też był wykorzystywany; przez pierwsze trzy tygodnie kampanii cieszył się poparciem rządowej telewizji; zmieniło się to dopiero wówczas, gdy bezpośrednio zagroził Mazowieckiemu, a więc niespełna tydzień przed I turą.

KPN mógł wówczas zmienić linię kampanii, przejść do ostrych personalnych ataków, zacząć prześcigać się z Tymiąńskim w werbalnym radykalizmie. Przyniosłoby to na pewno sporo gło-



wania Konfederacji jako ugrupowania spokojnego i rozsądnego, dojrzałego politycznie, doskonale wiedzącego czego chce i w jaki sposób zamierza to rozwiązać. Kampania była obliczona nie na korzyści doraźne, satysfakcjonujące może osobiście Leszka Moczulskiego, choć kosztem KPN — a mianowicie na pozyskanie większej ilości głosów w wyborach, których i tak nie mogliśmy wygrać. Celem kampanii były korzyści długofalowe: uzyskanie silnej pozycji w przyszłych wyborach parlamentarnych, oraz — co jeszcze ważniejsze — przełamanie fałszywego wizerunku KPN.

Tak pomyślana kampania z góry już zakładała, że nie będziemy w stanie pozyskać głosów w najbardziej sfrustrowanej a równocześnie niedojrzałej politycznie części społeczeństwa. Zakładaliśmy, że w swej masie zbojkotuje ona wybory. Stało się inaczej: grupa ta w całości poparła niespodziewanego kandydata — Tymiąńskiego.

sów; można przypuszczać, że zabrałibyśmy ich Tymiąńskiemu jakąś połowę. Zapewniłoby to jednak drugie miejsce Mazowieckiemu, a nie Moczulskiemu. Nawet gdyby udało się pozyskać wszystkie głosy Tymiąńskiego, Moczulski nie miał szansy wejść do II tury, bo taka groźba spowodowałaby, że elektorat Cimoszewicza gremialnie poparłby Mazowieckiego.

Niektórzy bardzo liczyli, że rozpocznie się otwarta walka Moczulskiego z Tymiąńskim o głosy zradykalizowanej części społeczeństwa. Chodziło nie tylko o to, że służyło to Mazowieckiemu. Rzecz była ważniejsza. W oczach społeczeństwa powstałby obraz obu awanturniczych ugrupowań, walczących z wszystkimi i przeciwko sobie. Zamiast przełamania fałszywego stereotypu KPN, tylko byśmy go umocnili. Było to największe niebezpieczeństwo przed jakim stanęliśmy, grożące nawet przyszłą klęską polityczną KPN. Szczęśli-

wie, utrzymując nerwy na wodzy, zagrożenia tego uniknęliśmy.

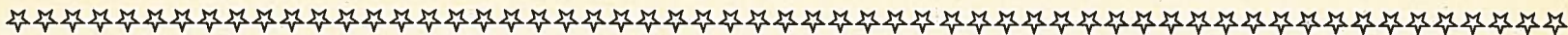
Niestety, utrata głosów na rzecz Tymiąńskiego była znaczna. Świadczą o tym najlepiej przykłady z miejscowości, w których uzyskaliśmy więcej podpisów, niż później padło głosów na Moczulskiego. Można przypuszczać, że odebrało to nam co najmniej połowę głosów, a może nawet dwie trzecie. Równocześnie ludzie ze środowisk bardziej umiarkowanych, pozyskani przez nas, stwierdzając, że popierają program KPN — głosowali na Wałęsę „żeby nie wygrał Mazowiecki”; wedle wstępnych szacunków, jest ich przynajmniej dwa razy tyle, ile Moczulski uzyskał głosów.

Obok ewenementu z nagłym wzrostem (ci zapewne szybkim upadkiem) Tymiąńskiego, w wyborach wystąpił szczególny paradoks. Zwycięski Wałęsa otrzymał znacznie więcej głosów, niż wynosiło jego rzeczywiste poparcie, gdy Moczulski ma znacznie większe poparcie, niż uzyskał głosów. Jest to bardzo ważny wskaźnik, pozwalający lepiej zobaczyć perspektywy przyszłości.

W II turze KPN zachowywała się bardzo powściągliwie. Nie mogliśmy poprzeć Tymiąńskiego, choćby ze względu na jego potwierdzone kontakty z ambasadą radziecką i poparcie dla Jaruzelskiego i stanu wojennego. Ponadto znaczna część społeczeństwa, zwłaszcza ci, którzy zostali pozyskani dla programu KPN w I turze — oczekiwała od nas poparcia Wałęsy. Z drugiej strony nie chcieliśmy stworzyć wrażenia, że występujemy przeciwko elektoratowi Tymiąńskiego, ponieważ jest to część społeczeństwa, którą KPN musi pozyskać czy też odzyskać. Stąd, chociaż Rada Polityczna względnie wcześniej uznała konieczność poparcia Wałęsy, uczyniliśmy to w ostatniej chwili — i w taki sposób, aby nasze stanowisko nie mogło być wykorzystane przeciwko nam w najbardziej zradykalizowanej części społeczeństwa.

Udział KPN w wyborach umocnił naszą pozycję polityczną, dowiódł dojrzałości politycznej, zwartości i siły organizacyjnej Konfederacji, pozwolił w nowym świetle pokazać nas społeczeństwu, stworzył możliwości szybszego rozwoju konfederacji i poszerzenia zakresu jej wpływów oraz zapewnił KPN mocną pozycję przed wyborami parlamentarnymi.

Wydział Polityczny KPN



Zapytany przez ucznia, czy należy zenić się z kochanką, która jest chimeryczna, kiłtliwa, niezbyt wierna i do tego tustawa Sokrates odpowiedział twierdząco. Do historii przeszedł jego argument: lepsze zło znane od nieznanego. Mimo że nie ma już Sokratesa ani jego ucznia, mimo że cała historyjka jest najprawdopodobniej zmyślona i to przeze mnie — sokratejski argument nie stracił swej ważności. Zwłaszcza teraz i w Polsce wybierającej prezydenta.

W chwili gdy piszę te słowa, kilkanaście godzin po zakończeniu głosowania, o samym Ty mińskim nadal niewiele wiadomo. Czegokolwiek jednak się dowiemy — czy tego, że był agentem KGB (Kadafiego, SB, kartelu narkotykowego — niepotrzebne skreślić), czy tego, że był wesołym paranoikiem, który zrobił nam świetny kawał — wszystko to pozostanie bez znaczenia. Ty miński był po prostu katalizatorem polskich nastrojów, jego przypadek mówi więcej o nas niż o nim samym. O tych milionach Polaków, którzy głosowali na Ty mińskiego w pierwszej i w drugiej turze i byli pewni zwycięstwa. I o tych, którzy nie głosowali.

A przecież klęska Ty mińskiego była łatwa do przewidzenia, była oczywista — dla wszystkich z wyjątkiem jego rozhisteryzowanych wyborców. Nawet on sam pod koniec kampanii jakby zwolecił, jakby stracił wiarę w sukces. Jego elektorat jej nie stracił, oderwany od rzeczywistości nie reagował na żadne argumenty. A przecież już po pierwszej rundzie badania OBOP-u przeprowadzone 26 i 27 listopada (w momencie powyborczej euforii!) zwolennikom Ty mińskiego obiecywały zaledwie 30% głosów, gdy Wałęsa 58%. Kilka dni później będzie jeszcze gorzej. Sondaż przeprowadzony 3-4 grudnia przyniósł Wałęsie 73% głosów, Ty mińskiemu ledwie 16%. Wykazana w sondażu malejąca popularność, „mesjasza z Peru” była czymś jeszcze gorszym niż wymowa samych tych liczb, była wyrokiem klęski. Co o niej zdecydowało? I czy była to klęska Ty mińskiego, czy raczej zwycięstwo Wałęsy?

W ostatecznym rozrachunku w drugiej rundzie Wałęsa otrzymał 78,25%, co oznacza 10 622 696 głosów. Ty miński zyskał 26,75% czyli 3 683 098 głosów. Procentowo zyskali obydwa, w liczbach bezwzględnych Wałęsa zyskał 4 miliony głosów, Ty miński stracił 116 tysięcy. I to zaskakuje najbardziej.

Z wyników pierwszej rundy wynikało, że Wałęsa wygrałby nawet wówczas, gdyby Ty miński pozyskał w całości elektorat Cimoszewicza (Ty miński + Cimoszewicz = 32,31%), a nawet gdyby dodał do tego wyborców, którzy głosowali na Bartoszcza (Ty miński + Cimoszewicz + Bartoszcze = 39,46% wobec 39,96% Wałęsy). Szansę dawało Ty mińskiemu albo stworzenie koalicji z Mazowieckim, co dawałoby łącznie 41,18% głosów, albo — jak już mówiłem — obudzenie choćby połowy z tych 40% śpiących, olewających i bojkotujących wybory. Stworzenie koalicji „antysolidarnościowej” nie wchodziło w grę, gdyż oznaczało automatycznie przejście części elektoratu Mazowieckiego do Wałęsy.

A jednak Ty miński stworzył koalicję, nie tyle antysolidarnościową, co solidarnościową (z udziałem KPN i części PSL) — przeciw sobie. To był majstersztyk. Majstersztyk niezręczności Ty mińskiego, lecz i majstersztyk zręczności niektórych byłych zwolenników Mazowieckiego.

Okrągłe pogaduchy o etosie „solidarności” przysłoniły wyborcom, a jak sądzę także sztabowcom Ty mińskiego, fakt dosyć oczywisty, wręcz banalny. Rozpad w „Solidarności” nie był rozpadem z powodów etycznych, nie był konfliktem wartości czy programów — bo tych nie ogłaszano. Program Balcerowicza do dziś trzymany jest w tajemnicy przed społeczeństwem, program Wałęsy ograniczał się do hasła o „przyspieszeniu”. To mało, ale jest to jednak jakaś wskazówka. Rozłam w „Solidarności” był konfliktem pomiędzy działaczami, którzy znaleźli swe miejsce w ekipie Mazowieckiego, którzy zaczęli tworzyć nowy establishment, a tymi, którzy nadal nie byli zadowoleni. Ci ostatni właśnie żądali „przyspieszenia” i „rozliczeń” — gdy Mazowiecki obiecywał „grubą kreskę” i kompromis z przeszłością. Elektorat Wałęsy był więc nadal opozycyjny, radykalizm zbliżał się do wyborców Moczulskiego (nie przypadkiem prawie wszyscy zwolennicy KPN będą głosować w drugiej rundzie na Wałęsę)

— elektorat Mazowieckiego miał już charakter dworski, śmiał twierdzić, że w większym stopniu nadawali mu ton nawróceni PZPR-owcy, niż ideowcy spod znaku KOR-u (też w większości niegdys partyjni). Zresztą: nawet gdyby było ich mniej, nawet gdyby nowi dworzanie stanowili jedną czwartą elektoratu Mazowieckiego i gdyby tylko owa ćwiartka przeskoczyła na stronę Wałęsy — dawałoby to przywódcy „Solidarności” 44% głosów; Ty miński byłby bez szans.

Sztab Ty mińskiego nie docenił więc siły komunizmu, co jest o tyle paradoksem, iż w skład jego wchodziło nie tylko wielu „komuchów”, ale wręcz bezpieczeństwa. Nie doceniono komunizmu pozostającego w ludziach — bierności prawie połowy społeczeństwa, serwilizmu nowo mianowanych urzędników, nie doceniono nawet tego, że świeżo upieczeni liderzy będą walczyli o stolki, a nie o ideały, i szybko zgodzą się z „nową linią” partii Mazowieckiego. A szansę na utrzymanie stolków dawało tylko przerzucenie głosów na Wałęsę. Niemal naza-jtr po klęsce liderzy partii Mazowieckiego za-

wygrał też w gminach zamieszkałych przez Litwinów — w Puńsku, Sejnach, Wiżajnach i Burdach. W pierwszej z nich zdobył cztery piąte elektoratu.

● Mógł liczyć i liczył na tych, których ewentualne zwycięstwo Wałęsy pozostawiało za burtą — zwłaszcza na byłych aparatczyków popierających w pierwszej rundzie Cimoszewicza. Grając pod nich uwikłał się w sprzeczności — nie chciał publicznie potępić wprowadzenia stanu wojennego, chwalił Jaruzelskiego, a nawet kilkakrotnie obarczył winą za kryzys nie komunistów rządzących krajem 40 lat, lecz rządzącą półtora roku „Solidarności”. Te manewry zraziły mu tych, na których i tak nie mógł liczyć, ale zjednały w efekcie 35% elektoratu Cimoszewicza.

● Mógł wreszcie Ty miński liczyć na głosy chłopów, ale... w zależności od tego, jak chłop rozumie wypowiedź Wałęsy o planie Balcerowicza. A trzeba przyznać, że w tej kwestii Wielki Elektryk zagrał równie dobrze jak Ty miński i wypowiadał się równie mętnie: że w te-

Ochocie, od bezpieczeniaków też roi się w terenie. Np. pełnomocnikiem Ty mińskiego na województwo kieleckie jest kapitan SB Łukasiewicz, w biurze wyborczym w Kielcach rej wodzą: ppłk milicji Podgórski oraz dwóch kapitanów SB — Waligórski (wydz. I — wywiad) i Witula (wydz. II — kontrwywiad).

● „Gazeta Wyborcza” z 4.XII zamieściła kompromitujące Ty mińskiego sprawozdanie ze spotkania z wyborcami, które odbyło się dzień wcześniej w Hali Gwardii. Elektorat Ty mińskiego został przedstawiony jako stado rozhisteryzowanych debili, co nie było dalekie od prawdy. Wykorzystano też przeciw Ty mińskiemu broń, z której przedtem strzelano do Wałęsy: w oparciu o wypowiedź któregoś ze zwolenników elekta „Gazeta” zasugerowała, że Ty miński jest antysemitą.

● „Gazeta Wyborcza” z 5.XII wzięła się za obróbkę paszportu Ty mińskiego sugerując, iż miał on co najmniej dobre stosunki z MSW. Ta sama gazeta zamieściła kompromitujący zapis wywiadu Ty mińskiego (z 29 listopada), z którego wynikało, że jest to facet rozkojarzony, psychiczny, nie odpowiadający na pytania lub — jeśli juz — to głupio.

● 6 grudnia „Gazeta” zamieściła artykuł o programie gospodarczo-politycznym Ty mińskiego pod wymownym tytułem „Czyste szaleństwo”

● 7.XII „Gazeta” posłała na całość i zamieściła życiorys Ty mińskiego wykorzystując wszystkie dwuznaczności i kłamstwa. Z tekstu wynikało, że Ty miński jest rozwodnikiem, narkomanem, złodziejem programów TV, a może i nawiedzonym maniakiem, który potrafi „panować nad odległością za pomocą myśli” i żyje w IV wymiarze. Wbrew temu, co mówi Ty miński jego firma kanadyjska nie zatrudnia 300 pracowników, lecz 15 i handluje głównie z Rosjanami, z moskiewską fabryką Chimawtomatika. Raz jeszcze powtórzono, iż do Polski jeździł przez Libię — choć twierdzi, że tam nigdy nie był. Wszystkie te napastliwe artykuły sąsiadowały z wypowiedziami autorzytelni w rodzaju Bratkowskiego i Skalskiego namawiających do głosowania na Wałęsę.

Silny cios zadała Ty mińskiemu „Solidarności” publikując (z datą 7.XII, lecz wydrukowana 3-4 dni wcześniej) nie tylko artykuły przeciw niemu, lecz także zdjęcie nawet w formie zagadki — wycinek: ręce z wódką na pierwszej stronie, całość wewnątrz przedstawiające Ty mińskiego pijącego w towarzystwie Jaroszewicza i Gierka. Przyjęcie odbywało się w warszawskim Holiday Inn w październiku, zdjęcie przydało się w grudniu: upowszechniano je masowo w gablotach, m.in. wbrew regułom walki wyborczej, zamieszczono je w gablocie Zakładów Cegielskiego w przedwyborczą sobotę, 8 grudnia br.

Równie silne ciosy zadała Ty mińskiemu telewizja, choć trzeba przyznać, że on sam przegrał kilka spotkań walkowerem, nie zgłaszając się na programy. Może zresztą wyczuwał, że prezentacje TV „odczarowują” go i odbierają głosy.

● 29 listopada Ty miński nie zgłosił się na „Interpelację”. Podobno chciał rozmawiać tylko z telewizjami, a nie godził się na udział polityków. Tak czy inaczej telewizja zamieściła w miejsce „Interpelacji” film z konferencji prasowej. Ty miński nie miał nic do powiedzenia, a i to mówił w fatalnej polszczyźnie. Z tego, co zrozumiano: nie chciał potępić wprowadzenia stanu wojennego, bronił Jaruzelskiego, namawiał do handlu z ZSRR.

● 30 listopada telewizja zaprezentowała wspólną konferencję prasową Ty miński — Wałęsa. Ty miński znów mówił mętnie, wyparł się podróży do Libii, próbował zbic z tropu dyskutantów zadając im „ubeckie” pytania. List biskupów, który społeczeństwo odebrało jako poparcie Wałęsy zinterpretował jako list popierający Ty mińskiego. Zasugerował też, że ma „czarną teczkę” z materiałami kompromitującymi Wałęsę. Mimo wezwań tego ostatniego materiałów tych nie ujawnił — nie ujawnił ich też do końca, mimo pogrozek.

dokończenie na str. 15

Druga runda

pomnieli, jakie kalumnie rzucali na głowę Wałęsy i zaczęli gadać o „jedności”, powrocie do „korzeni” i etosie solidarności. Wysuwano też sugestie Wielkiej Koalicji, przebąkiwano, że dobrze byłoby, gdyby Mazowiecki pozostał premierem, w ostateczności zaś, gdyby Gerek dostal sprawy zagraniczne... Coś takiego zasugerowała wprost „Gazeta Wyborcza” 6.XII.br.; jej redaktor naczelny, Michnik, choć podtrzymał swój krytyczny sąd o Wałęsie, również wezwał do niegłosowania na Ty mińskiego. Michnik jest politykiem zbyt inteligentnym, by nie widział, że nawet powstrzymanie się od głosu oznaczało poparcie Wałęsy. Tak więc Ty miński mógł liczyć na mały procent byłego elektoratu Mazowieckiego, na najbardziej zaciętych wrogów Wałęsy. Ostatecznie przechwyci z tej grupy 5% wyborców — to wszystko. Ale przecież nie na nich stawiał.

● Ty miński przede wszystkim pragnął utrymac i powiększyć swój elektorat z pierwszej rundy wyborców, zwłaszcza tych młodych, sfrustrowanych, nie widzących ani zmian na lepsze, ani szans dla siebie w swoim kraju. A ich krajem nie jest wspaniała Rzeczpospolita, tylko brudna, zapyziała Polska gminna, Polska wsi z upadającym rolnictwem, małych miasteczek, w których ani pracy, ani widoku na mieszkanie. Zrozpaczeni, zagrożeni widmem nędzy i bezrobocia gotowi są uwierzyć każdemu, kto obieca im „drugą Japonię” czy drugą Kanadę. Wałęsa przestał obiecywać Japonię — Ty miński zaczął obiecywać Kanadę, zyskał w tej nędznej Polsce fanatycznych wyznawców. Nie wygrał z Wałęsą, nie mógł wygrać, ale w wielu małych miejscowościach miał ponad 30% głosów. Różące bardziej wyrobioną publiczność teatralne gesty wyborców „oddających” Ty mińskiemu pod opiekę przyszłość dzieci (scena odtwarzana wielokrotnie w jego programie TV), historyczne wypowiedzi dziewcząt „nie widzących przyszłości” — te posunięcia dały maksymalny efekt. Większego już dać nie mogli.

● Mógł też Ty miński liczyć na głosy mniejszości narodowych, zwłaszcza na wyborców prawosławnych zaniepokojonych klerykałizmem „Solidarności”. W pierwszej rundzie na terenach „Ściany Wschodniej” królował Cimoszewicz zyskując w niektórych gminach ponad 90% głosów (Czyże 92%, Orla 91%, Hajnówka 88%). Złudzeniem byłoby sądzić, że to białostoccy swojacy głosowali na swojaka (nikt nie rodzi się w tyłu miejscowościach na raz). Pojął to chytrze Ty miński i wyciszył w swym programie mocno obecne w I rundzie (nagrywane m.in. w Częstochowie) akcenty religijne. Dzięki temu przejął prawosławnych: Czyże 95%, Orla 91%, gm. Hajnówka — 94% Zdecydowanie

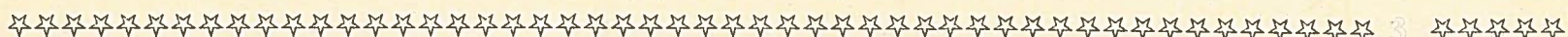
macie kierunku na prywatyzację plan jest słuszny, ale w temacie rolnictwo wymaga korekty. Ci chłopci, którzy zrozumieli to jako zapowiedź kontynuacji przeszli do Ty mińskiego, (ale była ich mniejszość, ok. 30%), ci, którzy zrozumieli te słowa jako zapowiedź zmian — poszli głosić na Wałęsę. Ci, którzy nic nie zrozumieli poszli spać.

Tak czy inaczej Ty miński nie miał na co liczyć. Nawet gdyby przejął wszystkie głosy Cimoszewicza i Bartoszcza byłby — jak wyliczyłem — bez szans. Mógł tylko powiększyć elektorat — lecz i to się nie stało.

W chwili gdy piszę te słowa, o Ty mińskim wiadomo niewiele — coś niecoś jednak już wiemy. Ten wzrost wiedzy społecznej o Ty mińskim to jedna z przyczyn jego klęski. Jego siłą była tajemniczość, Ty miński wniósł w nasze życie obszary niepewności, jakieś luki, które jedni wypełniali idąc po linii obaw, inni — po linii nadziei. Z psychologii i statystyki wynika, że ilość pesymistów i optymistów jest zblizona. Ale zmiany sytuacji gospodarczej zachodzące — o dziwo — w trakcie trwającej kampanii działały przeciwko politykom związanym z establishmentem. Od połowy listopada do początku grudnia wzrosły 20-30% ceny mięsa i nabiału, cena jaj przekroczyła magiczną linię 1000 zł. (początek grudnia 1300 zł.), kostka masła „ekstra” z 3,5 do 6-6,5 tys. W pierwszej rundzie działało to przeciw Mazowieckiemu, w drugiej mogło przeciw Wałęsie. Nie zadziało jednak zbyt mocno na korzyść Ty mińskiego. W drugiej rundzie nastąpiło bowiem „odczarowanie czarodzieja” czy, prościej mówiąc, kompromitacja iluzjonisty. Największą zasługę mają w tym zbożnym dziele: telewizja i „Gazeta Wyborcza”, które udowodniły, że Ty miński nie jest jednak Mesjaszem.

● „Gazeta Wyborcza” z 1-2.XII opublikowała artykuł „Ty miński kradł programy”, z którego miało wynikać, że telewizja kablowa Ty mińskiego w Iquitos to firma mała i do tego zrodziejska. Opierając się na wypowiedzi p. lldy Urizar, przewodniczącej komisji parlamentu peruwiańskiego badającej aferę TVS, gazeta podala, że Ty miński przekazywał 4500 abonentów za 15 dolarów miesięcznie kilka programów kradzionych z TV kolumbijskiej, brazylijskiej, a nawet z Miami. Rozpowszechniał też różne filmy bez zgody producentów i oczywiście bez placenia tantiem.

● „Gazeta Wyborcza” z 3.XII w artykule pt. „Podział łupu” zaczęła udowadniać, że za Ty mińskim stoi dawna bezpieka. Mężem zaufania Ty mińskiego jest Jerzy Gralak, do niedawna zastępca szefa dzielnicowego USW na



W Lizbonie, byłej stolicy byłego imperium portugalskiego delegacja rządowa Ludowej Republiki Angoli prowadziła rozmowy z przywódcami UNITA (Związek Narodowy na Rzecz Niepodległości Angoli). To były pierwsze, poważne kontakty. Dotychczas rządzący w Angoli, marksistowski MPLA (Ludowy Ruch Wyzwolenia Angoli) traktował UNITA jako nie mającą większego znaczenia, marionetkową i terrorystyczną organizację, wysługującą się rasistom i światowemu imperializmowi.

Podobne rozmowy toczy rządząca w Mozambiku — innej z b. portugalskich kolonii w Afryce — marksistowska partia FRELIMO (Front Wyzwolenia Mozambiku) z przywódcami zbrojnej opozycji. Ponadto grupa czołowych osobistości FRELIMO wystosowała do prezydenta RPA, Frederika de Klerka list, będący wyraźnym zaproszeniem do wszczęcia dialogu. Dotychczas, w oczach przywódców Mozambiku, Republika Południowej Afryki uosobiła wszelkie zło tego świata.

Co zatem powoduje, że dwa najważniejsze bastiony rewolucji komunistycznej na Czarnym Lądzie skłonne są podjąć negocjacje z siłami, które dotychczas zaciekle i z pełną determinacją zwalczały? Negocjacje oznaczające tylko jedno: ustępstwa a w perspektywie upadek.

Stolica Angoli — Luanda, a jeszcze bardziej Lourenco Marques (obecnie Maputo), stolica Mozambiku, zaliczane były przez obywateli światów do najpiękniejszych miast Afryki. Nadmorskie położenie, tropikalna roślinność, a nade wszystko architektura wytwarzały pewien specyficzny klimat niosący refleksy urody miast śródziemnomorskich i urbanistyki latynoamerykańskiej. Jeszcze dzisiaj widok tych miast od strony morza stwarza przyjemne, nawet olśniewające wrażenie. A z bliska? Na targu w Maputo, obok nielicznych straganów z owocami i rękodziełem młodzi chłopcy rąbią pnie drzew. Sprzedają je na opał. Tym drzewem pali się bowiem w kuchenkach usytuowanych na... balkonach smukłych wieżowców. Działająca winda lub telefon — to rzadkość. Stale szwankują wodociągi i dostawy energii elektrycznej. Eleganckie niegdyś sklepy świecą pustymi półkami. Podobnie jest w angolańskiej Luandzie. Tamtejszy, reprezentacyjny port lotniczy sprawia wrażenie zapuszczonego i zdewastowanego. Wilgotny i gorący klimat sprawia, że wszelkie urządzenia należy regularnie konserwować i naprawiać. W przeciwnym razie maszyna stanie, skoroduje, zniszczy. Ale przecież w czasach kolonialnych wszystko to działało sprawnie i niezawodnie. Więc co się stało?

W roku 1975 — roku uzyskania niepodległości Angolę opuściło ok. 500 tys. Portugalczyków. Z Mozambiku wyjechało ich ok. 270 tys. Pozostali nieliczni (może po 15 — 20 tys.). Wyjechali inżynierowie, technicy i zwykli wykwalifikowani robotnicy. Wyjechali też lekarze i pielęgniarki, urzędnicy, kupcy i farmezy. I nie tylko oni. Uciekali też niektórzy wykwalifikowani Afrykanie i Mulaci. Wszyscy oni uchodzili przed groźną wojnę domową, porachunków plemiennych i przed rozpoczynającymi się gździejniedzie rzeziemi białych. Można zapytać: — ale przecież nowe, komunistyczne władze przystąpiły do upowsze-

chniania oświaty. Przez 15 lat musiały więc przygotować jakieś kadry. Gdzie one są?

Rzeczywiście, jest już spora liczba wykwalifikowanych ludzi próbujących utrzymać w ruchu przemysł, transport i infrastrukturę. Ale przede wszystkim wyszkolone kadry wchłaniają tam armie i ich logistyczna obsługa. W obydwu krajach — od zarania ich niepodległości — trwają wojny. Te wojny toczą afrykańscy marksiści z ugrupowaniami afrykańskich opozycjonistów, wy-

ni i Mulaci z armii Fidela łądowali w Luandzie; Angola stanowiła jeszcze terytorium zamorskie Portugalii, ta zaś integralną część NATO. Demokracje Zachodu wstrzymały rozwijającą się ofensywę wspólnych sił RPA, UNITA i ochotników portugalskich. No bo jak to? Z jednej strony „lud zrywający okowy kolonializmu” i „internacjonalistyczni” bojownicy a z drugiej „białi rasiści”. Tak więc pozostało. Później wprawdzie przybyli radzieccy generalowie i sztabowcy. Eksperti z NRD, Bułgarii, Czechosłowacji (może i z Polski?) szkolili wojsko, policję i służbę bezpieczeństwa. Przybywały transportery opancerzone, czołgi typu „T” i samoloty typu „Mig” i „Su”. Bo wojna domowa rozgorzała na wielką skalę. Przywódca UNITA — Savimbi, nie tylko nie skapitulował, lub — co byłoby bardziej wymowne — nie uciekł do RPA, lecz systematycznie umacniając swoje siły opanował całą południową Angolę. Istnieje tam dzisiaj sprawna administracja, funkcjonuje szkolnictwo, służba

Sena. Jeszcze nie tak dawno szkoleniem armii, służby bezpieczeństwa oraz bezpośrednią ochroną obiektów rządowych zajmowali się agenci... STASI z byłej NRD.

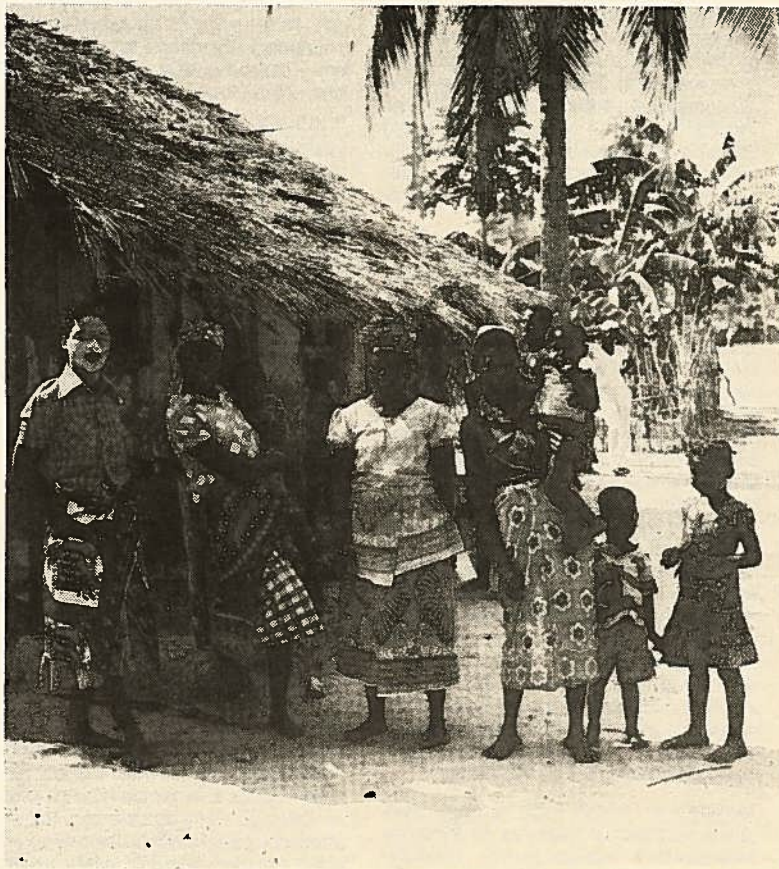
Obecnie „internacjonałści” odchodzą. Zagrożona głodem i rewoltą we własnym kraju Moskwa ma na głowie pilniejsze wydatki niż niesienie „bratniej” pomocy egzotycznym krajom. Pozbawiona miliardowych dotacji (w dolarach) Kuba musi pilnie zatroszczyć się o niejasną przyszłość własnej rewolucji. „Specjaliści” i „doradcy” z byłego bloku wschodniego, być może woleliby pozostać w Afryce niż wracać do zaciekawionych ich życiorysami nowych szefów w całkowicie odmienionych centralach. Ale skąd miałyby się znaleźć pieniądze dla tak szczególnych najemników. Wyjeżdżają więc, pozostawiając za sobą zrujnowane wojną i marksistowskimi eksperymentami gospodarczymi kraje. Kraje z których kilka milionów ludzi musiało uchodzić za

Mniej czerwieni na czarnym

szczając jedne z najbiedniejszych krajów świata. Bezpośrednio, w pa-cyfikacyjnych masakrach lub pośrednio, przez głód, epidemie i uchodźstwo dziesiątkują cywilną ludność.

zdrowia, transport a nawet drobny przemysł. Savimbi nie może liczyć na pokonanie regularnej armii rządowej, ale i sam jest nie do pokonania. Szczególnie teraz, gdy na mocy stosownych porozumień wra-

granicę, by wegetując w obozach chronić przynajmniej życie. W krajach tych podstawowe wskaźniki ekonomiczne nie osiągnęły poziomu z ostatnich lat kolonialnego władania.



Ale decyzje strategiczne w tych wojnach zapadały daleko od Afryki. Genialny w swojej prostocie był radziecki pomysł aby do wsparcia — dość chwiejnie zmierzającej do władzy nad Angolą w 1975 r. partii MPLA, wykorzystać „internacjonalistycznych” żołnierzy z Kuby. Swoistej pikanterii dodaje fakt, że kiedy starannie wyselekcjonowani Murzy-

cją do swojej rewolucyjnej ojczyzny „internacjonalistyczni” żołnierze Fidela Castro.

W Mozambiku nie chciano zbyt- nio zaufać Kubańczykom. Początkowo flirtowano nieco z Chinami. Lecz prawdziwymi internacjonalami są tam żołnierze z koreańskiej brygady przyslanej przez tow. Kim Ir

Kolonializm portugalski żelazną ręką utrzymywał swoje zamorskie terytoria. Ucisk tubylców i warunki ich życia były bodaj czy nie najcięższe w Afryce. Zresztą sama „imperialna” Portugalia była krajem ubogim. W dodatku przez długie lata utrzymywała swoje posiadłości w gospodarce izolacji od świata. Jednak Portugalczycy nie byli rasistami. Zamożny Afrykanin lub Hindus był tym, kim był faktycznie; zamożnym przedsiębiorcą lub kupcem. Mieszane związki małżeńskie niko- go nie raziły. W ostatnich dwóch dziesiętkach lat panowania Portugalia wyraźnie zdyktowała gospodarce terytoriów. Rozpoczęto proces sensownie, budując drogi, mosty, linie kolejowe i lotniska, sprawny system łączności. Wszystko to nowoczesnie i z architektonicznym smakiem. Także te piękne miasta i mniejsze osiedla w interio- rze. Lecz wszystko to dokonywało się za sprawą wykwalifikowanych osadników portugalskich z pozosta- wieniem niejako na uboczu ludności tubylczej. A osadników przycią- gano dziesiątkami tysięcy. Boom gospodarczy wywołał napływ kapi- tału. Marzyło się powtórzenie feno- menu Brazylii w jeszcze bogatszym wydaniu. Nie wiemy czy zamierze- nia te były realne. Wiemy, że obejm- ujący w obydwu krajach w tym sam- ym 1975 r. afrykańscy, marksisto- wscy nacjonalisci nie znaleźli re- cepty na przełamanie postkolonial- nych obciążeń. Wyjechali osadnicy, zerwano handlowe kontakty z za- chodnimi rynkami, rozregulowano gospodarke i rozpoczęto walkę z rasizmem, imperializmem, kapitaliz- mem itd. Skutki oglądamy dzisiaj. Pozostała wojna, głód, ruina gospodar- cza i niszczenie piękne miasta.

JACEK MILEWSKI

Policja włoska, holenderska i belgijska kilkakrotnie trafiła na okazałe magazyny broni, materiałów wybuchowych i środków łączności umieszczone w różnych rejonach wielu krajów. Zanim jednak wszczęto dochodzenia, sprawom „ukręcano łby” na wyraźne polecenia najwyższych przełożonych, a gorliwi stróże prawa byli zobowiązani do zachowania wiadomości o znaleziskach w najgłębszej tajemnicy.

Obalenie komunistycznych rządów w większości krajów Europy Wschodniej sprawiło, że tajemnica otaczająca akcję, której istotnym elementem były te magazyny tajemnicą być przestawała. Natomiast w opalach znaleźli się politycy rządów państw, na terenie których znajdowano składy. Ma już kłopoty włoski premier **Giulio Andreotti** i prezydent **Francesco Cossiga**. Dziennikarze coraz śміiej atakują premiera Holandii **Ruuda Lubbersa** i belgijskiego ministra obrony. Pojawiają się spekulacje, kto zapłaci stanowiskiem a może i dochodzeniem prokuratorskim za utrzymanie, poza oficjalnym obiegiem informacji, przedsięwzięcia którego korenne sięgają lat pięćdziesiątych. Choć, gdyby nie było ono tajemnicą, nie miałyby większego sensu. W czym rzecz?

Strach przed „czerwoną zarazą”

W połowie lat pięćdziesiątych, w atmosferze kończącej się właśnie „zimnej wojny” w sztabach NATO zapanowało słusze przekonanie o słabości sił tego bloku na terenie Europy. Analiza potencjalnych możliwości wojsk państw Układu Warszawskiego z Armią Radziecką na czele wykazała, iż nagłe uderzenie z terenów byłej NRD zmasowanych jednostek pancernych wspomaganych lotnictwem i bronią rakietową — bez użycia broni jądrowej — sprawiłoby, że w ciągu dosłownie kilku dni Rosjanie byłby już okupantami całej Europy Zachodniej. Wyjątkiem byłaby Wielka Brytania i Irlandia, co oczywiście nie stanowiło zbyt wielkiej pociechy dla spanikowanych polityków i sztabowców. Różne źródła po-

zuje wielką ilość posiadanych czołgów, samolotów bombowych i rakiet. Ludzie odpowiedzialni za bezpieczeństwo państw leżących na zachód od Łaby mieli więc wszelkie powody do zaniepokojenia.

Podjęte wówczas działania nie miały na celu zwiększenia potencjału obronnego Zachodu, lecz maksymalnego utrudnienia ewentualnym okupantom dzieła zamiany całego kontynentu w obszar panowania ko-

Pierwsi żołnierze III wojny

munizmu. Plan opracowany przez specjalistów CIA musiał jednak być utrzymywany w możliwie najgłębszej tajemnicy.

Partyzanci „in spe”

Zaakceptowany przez najwyższe dowództwo prawdopodobnie wszystkich krajów NATO plan zakładał stworzenie tajnych struktur oporu które zafunkcjonowałyby dopiero w przypadku wrogiej okupacji. Rząd wielu spośród tych państw będą prawdopodobnie zaprzeczać uczestnictwu we wspo-

cesoriów niezbędnych do prowadzenia walki partyzanckiej. Każdy z tych magazynów zawierał wyposażenie umożliwiające wykwiwanie co najmniej liniowej kompanii wojska. Było to więc przedsięwzięcie zakrojone na szeroką skalę.

Niezbędni też byli ludzie, jako że sama broń nie na wiele by się przydała. Wyszukano więc fachowców, którzy byłiby w stanie organizować patriotycznie nastawionych mieszkańców oddziały partyzanckie i potrafiliby nimi dowodzić. Z dotychczas ujawnionych materiałów wynika, że na terenie Włoch było ich co najmniej 620. Ilu natomiast było ich w rzeczywistości, nie wiadomo.

Z oświadczenia wydanego w tej sprawie przez premiera Holandii wynika, że przygotowywani w jego kraju „gladiatorzy” nie mieli walczyć ani organizować akcji sabotażowych. Ich zadaniem według premiera byłoby wyłącznie wywiad. Trudno dać temu

w tym kraju tajnych składów broni „wyparowało” bez śladu, po prostu je ukradziono. Gdzie trafiała zawartość, trudno wyrokować. Magazyny opróżniono przed laty, gdy policja nie mogła wszczynać śledztwa w poszukiwaniu czegoś, co oficjalnie nie istniało, zaś tajne służby które ewentualnie mogły się tego podjąć miały co innego do roboty. Kraj był ogarnięty falą terroryzmu uprawianego przez ugrupowania różnych orientacji, od lewicowych ekstremistów po skrajną prawicę. Kto wie czy niektóre z nich nie zaopatrywały się z tych właśnie opróżnionych magazynów.

Przyjęcie jest o tyle prawdopodobne, że samolot pasażerski „AL Italli” który uległ katastrofie latem 1980 roku został, jak ujawniono po latach, zestrzelony. Użyto do tego przenośnej rakiety przeciwlotniczej, produkcji amerykańskiej. Takie rakietki znajdowały się w przygotowanych dla gladiatorów magazynach...

Pytania

Tych sześciu kilkudziesięciu „gladiatorów” przygotowanych do walki pod koniec lat 50-tych dziś dożywa spokojnej starości. Muszą mieć następców — inaczej utrzymanie tajnych magazynów nie miałoby sensu. Ilu ich jest? Kto i gdzie ich szkolił i, co najważniejsze, po co? Od kilkunastu lat widmo wojny w Europie należy raczej do przeszłości.

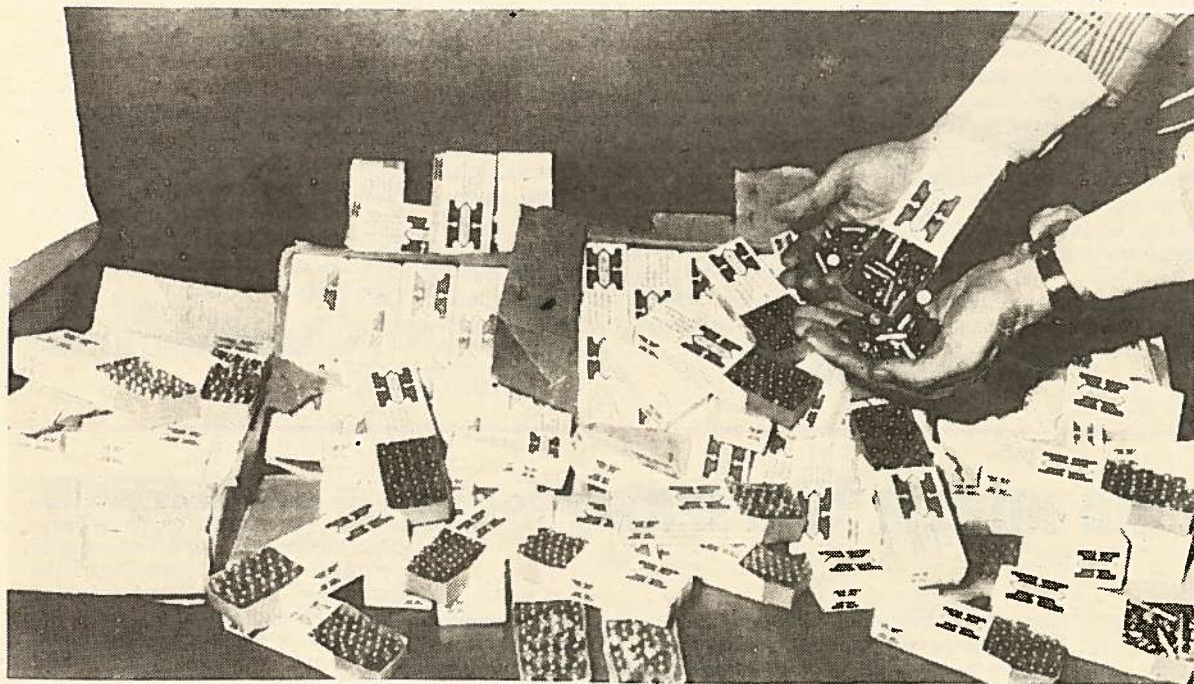
Zakrawa na kłamstwo stwierdzenie premiera **Andreottiego** jakoby o całej sprawie wiedziało zaledwie kilka osób z resortu obrony. Do ustawicznego szkolenia przyszłych partyzantów potrzebne są przecież odpowiednie warunki, sprzęt, instruktorzy itp. Musiał więc pracować nad tym spore grono ludzi. To samo dotyczy „gladiatorów” w Belgii i Holandii, a także w tych krajach, gdzie do ujawnienia tajnych struktur oporu jeszcze nie doszło.

Sprzęt bojowy to nie wino, które może dziesiątki lat stać w beczce i tylko na tym zyskuje. Tajnymi składami ktoś musiał się opiekować. Co kilka lat trzeba wymieniać przeterminowaną amunicję i materiały wybuchowe, konserwować broń, wymieniać przeterminowane lekarstwa i nieprzydatne po upływie pewnego czasu źródła zasilania w środkach łączności. Ktoś musiał aktualizować mapy a także plany sabotażu — powstawały przecież nowe zakłady przemysłowe i linie komunikacyjne. Zważywszy ilość składów i ich zawartość zadanie to musiało zajmować także okazałe grono wtajemniczonych.

Sprzęt bojowy jest drogi. Jak maskowano olbrzymie wydatki niezbędne do utrzymania zarówno składów jak i ich potencjalnych użytkowników?

Pytania można mnożyć w nieskończoność. Przyzwyczajone do demokracji społeczeństwa bardzo nie lubią gdy rządy cokolwiek przed nimi ukrywają. Stąd należy przypuszczać, że afera z siatkami „gladiatorów” porządnie zaszkozi politykom którzy mieli nieszczerście zajmować odpowiedzialne stanowiska akurat wtedy, gdy sprawa wyszła na jaw.

Z drugiej strony nasuwa się refleksja. Przecież przygotowanie sił mogących przeciwstawić obcej okupacji powinno być traktowane raczej jako przejaw rozbrojoności i przewidywania a także jako działanie w najlepiej pojętym interesie państw które niegdyś mogły się czuć zagrożone. Utrzymanie operacji w najgłębszej tajemnicy również jest uzasadnione — gdyby przygotowywanie tajnych struktur oporu odbywało się jawnie, cała rzecz straciłaby sens. Tak więc czynienie politykom zarzutów wygląda tu cokolwiek bezsensownie i bezpodstawnie. Ale rozpieszczeni demokracją ludzie Zachodu tego nie rozumieją...



dają, że plan takiej agresji rzeczywiście istniał i był drobiazgowo opracowany. Może kiedyś dowiemy się szczegółów, na razie jednak wiadomo o nim niewiele. Czy mógł być wprowadzony w życie? Ówczesny, obejmujący niemal wszystkie zakątki świata radziecki ekspansjonizm daje podstawy do przypuszczeń, że chyba tak. Struktura wojsk państw Układu Warszawskiego była wówczas wybitnie ofensywna, na co wska-

mnianym przedsięwzięciu. W przypadku Włoch, Belgii i Holandii jest to niemożliwe. Ujawnione zostały dowody.

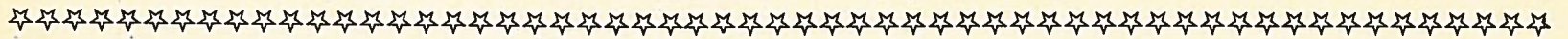
We Włoszech akcję nazwano operacją „Gladio” czyli Gladiator. W końcu lat pięćdziesiątych na terenie całego kraju rozmieszczono blisko 150 zakonspirowanych magazynów zawierających wielkie ilości broni, amunicji, materiałów wybuchowych, środków łączności, medykamentów i innych ak-

że jeszcze w tym roku przygotowywani do kierowania ewentualnym ruchem podziemnym konspiratorzy kilkakrotnie spotykali się w szerokim gronie. Spotkania te nie miały charakteru towarzyskiego.

Kto korzystał z magazynów

Jak wynika z ujawnionych we Włoszech tajnych dokumentów, 12 rozmieszczonych

WIESŁAW BENDKOWSKI



Wśród licznych problemów, jakie ujawniają się w miarę odzyskiwania przez Polskę suwerenności jest kwestia obywatelstwa przedwojennych obywateli Rzeczypospolitej. Z formalnego punktu widzenia osoby, zamieszkujące przed 1939 r. wschodnie terytoria RP nigdy nie utraciły obywatelstwa polskiego (wszyscy mieszkańcy, a nie jedynie tamtejsi Polacy). Obywatelstwo sowieckie narzucano im bowiem przemocą, zatem bezprawnie, a i wybór między pozostaniem w rodzinnych stronach a wyjazdem do Polski był daleki od dobrowolności.

Z drugiej jednak strony ludzie ci od przeszło czterdziestu lat są faktycznie obywatelami ZSRS ze wszystkimi dobrymi i złymi tego konsekwencjami — i nie jest to okoliczność bez znaczenia. Dziś jednakże wielu Polaków ze Wschodu przypomina sobie o tym dawnym obywatelstwie i pragnie jego potwierdzenia. Innymi słowy — pragną oni posiadać podwójne obywatelstwo, a po części zapewne — emigrować do Polski.

Tych drugich Polska musi przyjąć — to rzecz jasna. Problem z tymi pierwszymi. Obywatelstwo bowiem, to przynależność do określonego państwa — nic więcej. Nie ma ono nic wspólnego z narodowością: obywatelem polskim może być Polak, Niemiec i Ukraińiec, Szwed i Rumun, Anglik i Wietnamczyk. Polak z kolei może być obywatelem Niemiec, Ukrainy, Hiszpanii czy Wietnamu (byli i tacy!). Obywatelstwo łączy się też zazwyczaj ze stałym zamieszkiwaniem na terytorium danego państwa. Podstawowe obowiązki obywatelskie — powinność służby wojskowej i opłacania podatków są ściśle związane z miejscem zamieszkania, a ich realizacja w przypadku stałego, a zwłaszcza wielopokoleniowego zamieszkiwania obywateli na terytorium innego państwa rodzi poważne problemy.

Dlatego wszystkie państwa starają się unikać takich sytuacji, nakładając cudzoziemców, osiedlających się na swym terytorium do przyjmowania obywatelstwa tego państwa. Tym bardziej starają się oni unikać powstawania — z jakichkolwiek przyczyn — podwójnego obywatelstwa, tj. posiadania przez jedną osobę dwu przynależności państwowych. W tym celu zawierane są nawet układy o zapobieganiu powstawaniu podwójnego obywatelstwa — także Polska podpisała je z niektórymi krajami.

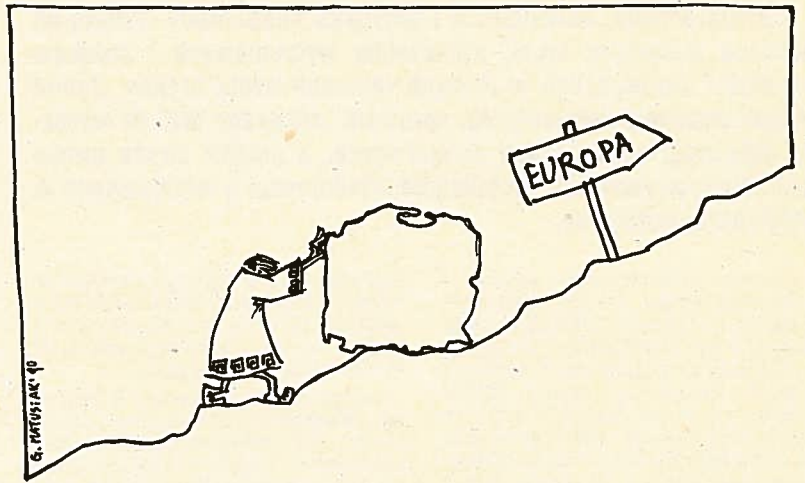
Niemal wszystkie państwa odmawiają też uznawania podwójnego obywatelstwa własnych obywateli, nawet jeżeli je tolerują, tj. jeżeli nie kwestionują ich posiadania innego obywatelstwa. W odnie-

sieniu do własnych obywateli honorują one jedynie własne paszporty, żądają odbywania służby wojskowej i płacenia należnych podatków. W zamian zaś przyznają bez ograniczeń bierne i czynne prawo wybor-

cze — właściwie jedyne z praw obywatelskich, które wykracza poza powszechnie uznawany katalog praw człowieka.

Mimo, że Polska chce dziś — jak się zdaje — uznać podwójne obywatelstwo emigrantów politycznych i ekonomicznych ostatnich dziesięcioleci — rozszerzenie tego kroku na Polaków ze Wschodu nie wydaje się rozsądne (!? dop. redakcji). Prawo sowieckie nie zna instytucji podwójnego obywatelstwa i władze te mogłyby na to odpowiedzieć pozbawieniem Polaków obywatelstwa ZSRS, czyniąc ich cudzoziemcami we własnym kraju. Jednostronne wprowadzenie takiego rozwiązania przez Polskę grozi nieobliczalnymi wprost konsekwencjami — zaś jego wynegocjowanie w formie układu dwustronnego (jednego lub raczej już wielu) nie wydaje się możliwe. Żadne państwo nie może narzucać drugiemu norm jego prawa wewnętrznego — czy to karnego lub podatkowego, czy regulacji dotyczących obywatelstwa.

Co gorsza — samo postawienie tej sprawy przez Polskę otworzy drogę analogicznym żądaniom mniejszości niemieckiej w



Wokół obywatelstwa Rzeczypospolitej

Polsce, które i tak rozbrzmiewają coraz silniej. Bo przecież prawomocność nadania Ślązacom obywatelstwa polskiego także jest co najmniej wątpliwa, a dobrowolność ówczesnych opcji — tym bardziej. A nikt chyba nie ma wątpliwości, jakim problemem dla Polski stałoby się trzysta tysięcy obywateli niemieckich (niechby tylko „podwójnych”) na Śląsku. Niemcy opolscy już dziś uchylają się od służby w Wojsku Polskim — co stanie się, gdy będą posiadać honorowane przez Polskę niemieckie paszporty?

Jednakże w kwestii — tak to nazwijmy — zaszłości historycznych na Wschodzie trzeba znaleźć jakieś rozwiązanie. Być może należałoby wynegocjować umowę o prawie opcji (wyboru obywatelstwa) przez osoby, mające obywatelstwo polskie przed ostatnią wojną i ich spadkobierców. Danie im prawa wyboru, jakiego nie mieli w latach czterdziestych. Ale tylko — prawa wyboru jednego lub drugiego obywatelstwa. Bo można żyć we własnym kraju jako obywatel lub jako cudzoziemiec (w sensie prawnym) — nie można być jednocześnie i jednym i drugim.

Wynegocjowanie takiego rozwiązania może być realne. Musimy jednak liczyć się z tym, że pociągnie ono za sobą — podobnie jak analogiczna operacja z 1921 r. — masowe przesiedlanie się do Polski wybierających obywatelstwo naszego kraju. Choć jednak Polska nie jest do tego najzupełniej przygotowana — fali uchodźców ze Wschodu — nie tylko Polaków — i tak chyba nie uda się nam uniknąć.

To prawda, że w ten sposób nie naprawimy krzywdy, wówczas wyrządzonej, nie przez Polskę zresztą, nie usuniemy skutków ówczesnego bezprawia. Ale to jest już po prostu niemożliwe — skutki tego, co się wówczas stało są od dziesięcioleci już nieodwracalne. Nie jest to jedyna sytuacja, w której możemy zrobić niewiele ponad danie pokrzywdzonym moralnej satysfakcji. Co się stało, to się stało, jak przed laty pisał Andrzej Szczypiorski, a świat nie powróci do stanu sprzed ostatniej wojny. Skutki tego — te dobre i te złe — musimy przyjąć i starać się, by do dawnych krzywd i bezprawia nie dodawać nowych.

TADEUSZ ANDRZEJ OLSZAŃSKI

Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy

Nasze radości z powodu odejścia komunizmu są ciągle maćcone. Jedną z przyczyn smutku, a nawet lęku są pewne zdarzenia, narastające od miesięcy w Warszawie. Sytuacji tych przeciętny Polak nie przewidział, choć byli tacy, którzy przed nimi ostrzegali. Pogoń za zyskiem, urynkowanie wszystkiego, co tylko możliwe zaczęło przybierać formy niosące smutek, a nawet przerażenie. Marksisci twierdzili, że nie da się cofnąć koła historii, że nie ma mowy o powrocie do minionej formy ustroju społecznego. Wiemy dobrze, że mylili się

co do tego i w wielu innych przypadkach również. Dziś widzimy jak na dłoni, że cofnęliśmy się do etapu kapitalizmu conajmniej z początków XIX w., liberalizmu gospodarczego mającego za nic potrzeby duchowe człowieka, a i inne potrzeby również. W niniejszym felietonie ograniczam się tylko do pewnych spraw warszawskich, groźących zaburzeniem w infrastrukturze miasta. Likwiduje się pralnie, sklepy spożywcze i z artykułami przemysłowymi, księgarnie, a na ich miejsce otwiera się coraz to nowe „butiki”, mające w sobie coś z sex-

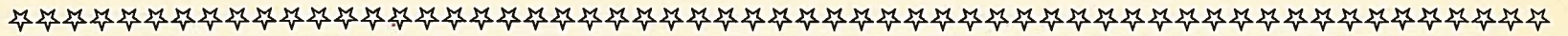
-shopu i burdelu. O pomstę do nieba woła likwidacja w „Domu bez kantów” księgarni wojskowej, która powstała jeszcze przed wojną z woli Marszałka. Towarzystwo Ekonomiczne wyrzuciło ze swego budynku dużą, zawsze dobrze zaopatrzoną księgarnię, która istniała tam przez 40 lat, a na miejsce przyjemnej kawiarni.

U „ekonomistów”, gdzie można było zjeść dania gorące, nie mając w otoczeniu pijaków, otworzyło duży „butik”. Przypadków tych można by dużo cytować. Natomiast gruchnęła

wieść, która jeży włosy wśród mieszkańców Starego Miasta, wieść zdawać by się mogło wyległa w uryślach paranoików, ale wobec tego, co się dzieje w Polsce wyprzedzającej się Zachodowi, w Polsce, w której ktoś będący absolutnym homo novus, ale z pieniędzmi może sięgać po urząd prezydenta, możliwa. Otóż wieść gminna głosi, że władze samorządowe Warszawy chcą sprzedać Zachodowi Stare Miasto który urządzi tam Disneyland. Mieszkańcy, których stać będzie na zapłacenie horrendalnych czynszów, bo wciąż nie ma ustawy o ochronie lokatorów, będą mogli pozostać, dla innych buduje się baraki na Anopolu. Prawda to czy bajka, ogłaszam alarm dla miasta Warszawy! Niech trwa!

JERZY SKRODZKI





Krajobraz polskich miast stał się bliźniaczo podobny. Czy to w Warszawie czy w Gdańsku, albo Krakowie, Poznaniu, Słubicach, Białymstoku czy w Cieszynie — wszędzie kwitnie prywatny handel onośny i obwoźny. Prywatna przedsiębiorczość odnosi na tym polu pełny sukces. Drugą „bitwę o handel” bezapelacyjnie wygrywa uprzednio skazany na zagładę.

Pierwsza taka bitwa rozpoczęła się bodaj jesienią 1947 roku, zaś zakończyła w 1949. Z jednej strony stanęli zwolennicy całkowitego „uspołecznienia” handlu, co de facto oznaczało oddanie tej dziedziny gospodarki w ręce biurokratycznego aparatu władzy; z drugiej zwolennicy utrzymania przedwojennego stanu rzeczy, do których wkrótce przyłączyli się PPS-owcy, którym zależało na zachowaniu drobnych sklepia- rzy. W tej walce Hilary Minc pokonał Cze- sława Bobrowskiego. Rezultaty tego zwycię- stwa smakowaliśmy przez czterdzieści lat. Handel nabral aromat zgnilizny...

Czas stracony?

Co do jednego nie może być żadnych dyskusji — handel w wersji państwowo- biurokratycznej pod jakimkolwiek ze względów nie zdał egzaminu. Lista grze- chów jest bardzo długa: wysokie koszty utrzymania sieci hurtowej i detalicznej, cał- kowity brak mobilności kupieckiej, fatalne funkcjonowanie wraz z całkowitą degren- goladą obsługi klienta, permanentne defi- cyty, nie nadążanie za potrzebami klien- tów, marnotrawstwo, brak jakiegokolwiek wpływu na jakość i asortyment produkcji. Tę listę można by wydłużyć.

Czy oznacza to, że wszystko, co trudem wielu ludzi, głównie kobiet, udało się przez dziesiątki lat wypracować, trzeba spisać na marne? Nie jest to pytanie bezzasadne. Posłużmy się rocznikiem statystycznym z 1989 r. (dane w nim podane obejmują stan z roku 1988, a więc z czasów rządu komu- nistycznego). Ogółem w handlu było zatrud- nionych 1477,5 tysięcy osób, o dziesięć tysięcy mniej niż w roku poprzednim. Licz- ba agentów spadła ze 180 tysięcy w 1980 roku do zaledwie 131 tysięcy w 1988 r. Tak więc oficjalne dane statystyczne świadczą zdecydowanie przeciwko władzy komunistycznej, która — jakoby — starała się gospodarkę prywatyzować i nastawić ją na kierunki prorynkowe. Argumentem prze- ciwko powyższemu rozumowaniu stac mogło by się zestawienie następujące: 45,7 tysiąca zatrudnionych w handlu nie- uspołecznionym w 1980 r. wobec blisko 90 tysięcy w 1988 r. Jednak w porównaniu do liczb podanych uprzednio są to wielkości śmieszne!

Tym niemniej przez te dziesięciolecia upadku handlu detalicznego i hurtowego dopracowaliśmy szerokiej rzeszy ludzi, któ- rzy: po pierwsze, znaleźli tu swoje zawodo- we miejsce w życiu; po drugie, zbierając li- czne złe i kilka dobrych doświadczeń, wy- tworzyli swoją wizję tego, jak ten dział gos- podarki powinien się przedstawiać; po trze- cie, co niebagatelne, wrosła w świadomość lokalnych społeczeństw.

To ostatnie wymaga pewnego wyjaśnie- nia. Podam swój osobisty przykład. Miesz- kam w niewielkim warszawskim osiedlu, gdzie do niedawna były trzy sklepy spoży- wcze. Jestem wielbicielem białego sera. Udało mi się „oswoić” załogi tych trzech sklepów tak, że ilekroć nie miał on właści- wej jakości, panie sprzedawczynie odma- wiały mi zakupu. To nazywa się więz klien- ta z kupcem, bowiem ilekroć te same panie polecały mi coś do nabycia — brałem w ciemno. W drodze „mączwieckiej” prywa- tyzacji dwa sklepy zostały zlikwidowane, trzeci tylko na to czeka. Nasza lokalna więz

została zerwana. Nie mieszkańcy naszego osiedla o tym decydowali...

Napisałem powyższe słowa nie na skar- gę. Rzecz w tym, że w trakcie następują- cych ostatnio, w zasadzie właściwych pro- cesów przekształceniowych, nie tylko zys- kujemy. Także tracimy. Jeśli ktoś mało po-

Druga bitwa o handel

ważnie podchodzi do tak licznych prote- stów załóg licznych sklepów, załóg przez dziesiątki lat materialnie wykorzystywa- nych przez struktury biurokratyczne, to wy- kazuje brak społecznej wyobraźni. Pocie- szanie się faktem, iż na miejsce likwidowa- nych placówek handlowych (usługowych) powstają nowe, bardziej opłacalne dla sa-

— działań żywiołowych otrzymaliśmy kary- katurę handlu. Stoją puste pomieszczenia sklepowe, ta nieliczna już sieć sklepów państwowych ledwo dyszy, zaś burzliwie rozwijają się najbardziej prymitywne, bliż- sze ubogim strefom Azji czy Afryki, formy handlu. Kawalek tektury, stolik turystyczny, w najlepszym przypadku dychawiczny „żuk” czy „nysa” zastępują dobrze wypo- sażone sklepy. Sprzedającymi są ludzie przypadkowi, bezrobotni, studenci, ludzie niewiadomej proweniencji i profesji. Nato- miast sprzedawcy (głównie sprzedawczy- nie) z długoletnim stażem ... powiększają kolejkę dla bezrobotnych. Prawo Koperni- ka-Ockhama mówiące o tym, że gorszy pieniądź wypiera pieniądź lepszy, w tym przypadku znajduje swoje specyficzne po- twierdzenie: prymitywniejsze formy handlu

się w kupców pełną gębą, dopóty wszystko będzie wyglądało jak wygląda. Proces ten mógłby być o wiele szybszy, gdyby w rzą- dzie zasiadł ktoś, kto na handlu się zna i czuje jego potrzeby. Zapewniam, że są tacy ludzie w Polsce, tylko że nikt im tek w gabinecie nie proponował. Trafili tam poli- tycy z partyjnego klucza.

Talent to nie wstyd

Wielu ludzi pióra lubuje się w inwekty- wach rzucanych pod adresem handlarzy. To typowa inteligencka fobia, w myśl której lepiej być „frajerem” niż „zbrukać się” han- dlem. Spora część polskiego społeczeńs- twa wykazała się mobilnością, pomysłowo- cią i skłonnością do dobrze pojmowanego ryzyka. A to przecież forpocztę polskiego, odradzającego się kapitalizmu — czy ktoś dzisiaj wypomina koncernowi Sears & Roebuck pierwsze kroki jego założycieli? Czy ktoś, kto dumnie paradytuje w dżinsach „Levi Strauss” wstydy się za metkę, która upa- miętnia założyciela firmy — a wędrowny krawiec Strauss pierwsze portki uszył z po- kryć wozów farmerskich!

Ktoś co chwila każe nam się wstydzić za rodaków w Berlinie, Wiedniu czy Budape- szcie. Dlaczego Niemcy nie protestują przeciwko swoim rodakom masowo wędru- jącym na polski brzeg Odry, dlaczego Au- striacy nie powstrzymują swoich obywateli tysiącami sunących do Bratysławy czy Bu- dapesztu, dlaczego Węgrzy nie plują na swych rodaków zjeżdżających do Krakowa i Katowic po tańsze niż u nich w kraju ubra- nia? Ano dlatego, że widzą w tym interes swoich obywateli.

Na handlu swą pomysłowość zbudowali Fenicjanie, potem Wenecja i Genua, z han- dlu powstała Hansa, Holandia i Belgia nie byłyby tym, czym są dzisiaj, gdyby nie han-

wypiera bardziej cywilizowaną. A za wszy- stkim kryją się pieniądze...

Rodzimy kapitał tylko w niewielkim odse- tku jest w stanie ponieść wysokie koszty czynszu, urządzenia lokalu, a do tego trze- ba dodać horrendalne podatki. Przy absur- dalnie wywindowanej w górę stopie opro-



Fot. DARIUSZ MOJEWSKI

morządów lokalnych czy dla spółdzielni mieszkaniowych będących właścicielami pomieszczeń sklepowych i usługowych — jest nie na miejscu. Ktoś stracił z uwagi drobny fakt: to ma wszystko nam, miesz- kańcom służyć...

Karykatura

W efekcie działań świadomych admini- stracji państwowej i — w większym stopniu

centowania kredytu, tylko kamikadze zary- zykowałyby jego zaciągnięcia. Co pozosta- je? — stolik turystyczny, tektura...

Sprzedawcy sezonowi cierpią od niewy- gód, kupujący dokonują zakupów w buszu — i wszyscy na to się godzą, bowiem jest po- pyt i jest podaż. Dopóki nie nastąpi nasyce- nie rynku, dopóki część z dzisiejszych przypadkowych handlarzy nie zgromadzi odpowiedniego kapitału i nie przeistoczy

del, Żydzi i Ormianie mieliby o wiele więk- sze trudności z utrzymaniem swojej naro- dowej tożsamości, gdyby nie ich zdolności kupieckie. Przykłady można mnożyć.

Nie wstydzmy się na nowo odnalezioną zdolności Polaków. Więcej, starajmy się wykorzystać ten talent dla pomnożenia za- możności całego społeczeństwa. Pecunia non olet...

JACEK ŚWIDZIŃSKI



Legenda Józefa Piłsudskiego pozostaje żywa. W wielu polskich domach nadal spotyka się jego wizerunki, a książki Piłsudskiego i o Piłsudskim wciąż są czytane bardzo chętnie. Mamy do czynienia z kolejnym, pośmiertnym triumfem Pierwszego Marszałka.

Nic zatem dziwnego, iż sporo współczesnych ugrupowań politycznych nie stroni od przywoływania piłsudczykowskich symboli w celu pozyskania klienteli. Kiedy występuje autentyczne przyjęcie za swoje motywów twórcy odrodzonej Polski — jest to zjawisko bez wątpienia pozytywne. Jeśli natomiast polega przede wszystkim na wygrzaniu emocji (w myśl sarkazmu samego Piłsudskiego, że „szukną rządu Polakami jest wzbudzenie odpowiednich nastrojów”), staje się jedynie zwykłym instrumentem propagandowym.

Bardzo wielu znanych historyków Polski Ludowej, szczególnie A. Galiński, lubiło wskazywać na rzekomą „bezideowość” obozu piłsudczykowskiego. Gdy jednak porównamy ją z niektórymi dzisiejszymi propozycjami politycznymi, stwierdzimy, iż prawdziwa bezideowość może być znacznie głębsza, a piłsudczycy dysponowali całkiem obszernym i konkretnym programem. Prawdą jest jedynie brak ścisłej doktryny, dającej gotowe rozwiązania wszelakich kwestii. Kampania prezydencka silnie zaznaczyła niektóre fragmenty idei Marszałka w interpretacji poszczególnych obozów walczących o władzę. Do spuścizny Komendanta odwołują się czasem również mniejsze grupy polityczne, będące dopiero „na dorobku” i nie wysuwające własnego kandydata w wyborach prezydenckich.

PPS, szczególnie ten jej nurt, który był konsekwentnie niepodległościowy i „proletyński”, chętnie wykorzystuje socjalistyczne rodowód Marszałka. Jednakże współczesny program zjednoczonej już partii w bardzo niewielkim stopniu pokrywa się z programem realizowanym przez Piłsudskiego, tak w sferze politycznej (np. konstytucyjnej), a także gospodarczej („utopia” samorządowa).

Partia Wolności K. Morawieckiego, FMW, RKMN oraz drobniejsze tego typu odłamy z myśli Józefa Piłsudskiego poza samą ideą niepodległości także nie przejęły w pełni. Albowiem to, co nazywamy jego spadkiem ideowym obejmuje też określoną filozofię działania „romantyzm celów, realizm środków”, czyli zdecydowany, odważny radykalizm, lecz nie skrajny, na drodze do niepodległości wykorzystujący nadarzające się okazje, do jej przybliżenia.

W szczególnym przypadku S. Tymińskiego praktycznie nie są znane żadne konkretne motywacje programowe, trudno więc cokolwiek na ten temat pisać.

Jakiś czas temu mass-media doniosły o powstaniu zagadkowego Stronnictwa Legionów Pracy im. Józefa Piłsudskiego. Poza nazwą podano jedynie, iż jest to nowa organizacja prorządowa. Niestety, nigdy później nie spotkałem żadnej wzmianki o owym „stronnictwie”, które zapewne podzieliło los setek innych kanapowych partyjek. Założyciele tej grupy ulegli jak się wydaje złudzeniu kreowanemu przez otoczenie T. Mazowieckiego, które nieprzypadkowo postarało się o wyekspozowanie faktu powitania córek Marszałka przez premiera na Okęcie.

W toku kampanii wyborczej przywołano również wypowiedź wnuczki Piłsudskiego Joanny Onyszkiewicz (żony wiceministra obrony, nominalnej właścicielki sławetnej firmy „Korona”), która wyraziła przekonanie, iż jej dziadek stanąłby za Mazowieckim. Pewnym zaskoczeniem stało się, że jedynym jakie zareagowało na to kuriozalne wystąpienie było studio wyborcze R. Bartoszcza, a więc kandydata, który sięgając do korzeni ruchu ludowego z tradycji piłsudczykowskiej czerpał mało.

Pewne wystąpienia szefa rządu i innych przedstawicieli jego obozu miały sugerować jakoby właśnie to środowisko wyrażało poglądy „neopiłsudczykowskie”. Stabilność demokracji, budowanie sprawnego państwa, nadrzędność dobra wspólnego nad interesami grupowymi — to hasła ściśle związane z międzywojenną sanacją. Należy ponadto dodać zróżnicowanie organizacyjne „Sojuszu na Rzecz Demokracji”, mające stwarzać wrażenie skupienia dla dobra państwa wokół osoby byłego premiera rozmaitych odłamu lewicowych („Solidarność Pracy”, ROAD) oraz pravicowych (Forum Prawicy Demokratycznej).

Wzór stanowił istniejący w l. 1927—36 Blok Bezpartyjny popierający J. Piłsudskiego...

Nie, coś tu nie gra. Słusznie Czytelniku zauważyłeś, że zestawienie tych dwu postaci wypada dla dotychczasowego prezesa Rady Ministrów raczej błado. Są to bowiem osoby nieporównywalne zarówno co do roli jaką odegrały w historii, co do cech przywódczych, jak i co do programu politycznego.

Józef Piłsudski rozpoczynał działalność

Tadeusz Mazowiecki lubi się przedstawiać jako niezłomny strażnik wyższych wartości. Póki co dał się poznać inaczej: jako przeciwnik nawet symbolicznego napiętnowania przestępców, którym wspaniałomyślnie zapominał grzechy przeszłości — oczywiście w imieniu społeczeństwa. Myślę, że Piłsudski, którego szandarowym hasłem była walka z wszelkimi nadużyciami, sanacja moralna odmiennie by dziś podszedł do problemu roz-

wyduje się różnica w stosunku do wartości fundamentalnej, jaką jest w spadku ideowym Komendanta niepodległość. Polityka Mazowieckiego wykonywana przez min. Skubiszewskiego wykazała, że stosunek do owej wartości jest nie dość przeczony. Działania rządu na arenie międzynarodowej przez ponad rok nie dopuszczały do wystąpienia z RWPG i Paktu Warszawskiego, ani do wycofania obcych wojsk, stanowiących ciągle zagrożenie dla suwerenności kraju. Przekonanie, iż wojska te broniłyby naszej zachodniej granicy może okazać się naiwne i fatalne w skutkach. Piłsudski, który niezawisłość narodową i państwową widział jako podstawowy warunek rozwoju, zależność militarną od Ro-

prezydenta RP. Póki co przeszkadzają w tym drobne różnice w rozłożeniu akcentów oraz motyw „chrześcijańsko-narodowy”, wnoszony do obozu Wałęsy przez jego popleczników z ZCh-N.

Spośród kandydatów na urząd prezydenta tym, który najlepiej garścią czerpał z tradycji Marszałka był przewodniczący KPN Leszek Moczulski. Zdaje się, że właśnie on dysponował po temu najzasadniczymi podstawami. Moczulski, rozpoczynający działalność w podziemnym Nurtie Niepodległościowym, miał przed laty okazję współpracować z prawdziwymi, przedwojennymi piłsudczykami, ale jest ich kontynuatorem nie tylko w znaczeniu personalnym. Najważniejsze są przecież

Prawo do symbolu

konspiracyjną w PPS, gdyż lewica robotnicza była w końcu XIX w. jedyną radykalną siłą, wysuwającą postulaty niepodległościowe, zdolną do walki z okupantem. Później, w latach odbudowy państwa polskiego, „wysiadł z czerwonego tramwaju” i stanął ponad podziałami partyjnymi. Znało się stwierdzenie, że Polska nie może sobie pozwolić na daleko idące eksperymenty w dziedzinie społecznej, bez względu czy są one postulowane przez lewicę, czy przez prawicę. Temu przekonaniu Marszałek pozostał wierny do końca. Tymczasem ekipa Mazowieckiego i Balcerowicza — już po ograniczeniu inflacji — przez długi czas utrzymywała stan dziwnego eksperymentu, zwanego pomieszaniem elementów pierwotnego kapitalizmu z niekniętymi pozostałościami „socjalizmu realnego”. Piłsudski, chociaż jego wiedza ekonomiczna była raczej ogólnikowa, dużą wagę przywiązywał do stabilności waluty — pozornie tak, jak dotychczasowy rząd. Pamiętać jednak należy, że miał do czynienia z normalną, prywatną gospodarką rynkową, nie stał wobec konieczności przebudowy całej struktury, w związku z czym hierarchia celów ekonomicznych mogła być taka a nie inna.

czeń zbrodni, korupcji, spółek nomenklaturowych. „Wydalem wojnę szujom, lajdakom, mordercom i złodziejom i w walce tej nie ulegnę” — szkoda, że Mazowiecki nie uznał za swoją dewizę tego fragmentu sejmowego przemówienia Komendanta. A także maksymy, iż „zwytyczyć i spocząć na laurach, to klasa”.

Jednym z pierwszych posunięć Piłsudskiego po objęciu funkcji Naczelnika Państwa było ogłoszenie wolnych wyborów do Sejmu Ustawodawczego. Elita rządząca nie zrobiła tego do dziś.

Kolejna istotna sprzeczność, to zagadnienie konstytucyjne. Zwolennicy T. Mazowieckiego z ROAD zasadniczą rolę w rządzeniu państwem chcą przyznać parlamentowi, co stanowi rażącą niezgodność z poglądami J. Piłsudskiego. FPD nieco koryguje ten „sejmowiadczy” program „pro-Mazowieckiej” lewicy, ale nie ono wszak decyduje o polityce całego sojuszu.

Jednakże żadna z wymienionych kwestii nie stanowi w sposób tak zdecydowany o różnicowości wizji Marszałka Piłsudskiego od realizowanej przez premiera. Najważniejsza

się uznawał za jedną z najgorszych perspektyw. Nie zdobyło się też na realizowanie wielkiej idei Marszałka, z którą nie rozstawał się do końca życia — nawiązanie przyjaznych stosunków z narodami żyjącymi pomiędzy nami a etniczną Rosją. Rząd RP nie dał przykładu innym, nie poszedł drogą jasnego i wyraźnego poparcia dążeń niepodległościowych narodów rozpadającego się imperium.

Tak więc „Unia Demokratyczna”, czyli ROAD wraz z przybudówkami, pardon, sojusznikami trudno nazwać kontynuacją myśli J. Piłsudskiego.

Nieco inaczej sprawa się ma ze zwyczajnym obozem Lecha Wałęsy, który także aspiruje do miana „spadkobiercy”. W tym przypadku podstawy do utożsamiania współczesnego kierunku politycznego z tradycją piłsudczykowską są dużo poważniejsze, co jest faktem bezspornym. Dysponuje on przywódcą podobnie jak Piłsudski symbolicznym, populistycznym, a nawet legendarnym w szerokich masach. Tak Piłsudski, jak i Wałęsa pozostała w historii osobistościami wybitnymi. Obaj wyrosli z ruchu robotniczego, napotykał ciężkie przeszkody i pokonywali je, obaj byli obrzucani przez propagandę najniewybredniejszymi oszczerstwami. I „Żuk”, i „Lechu” potrafili zjednywać sobie gorących zwolenników osobistym darem przekonywania, nimbem człowieka o silnej woli. Występują więc podobieństwa „zewnątrzne”, ale dostrzec można też różnice, w zachowywaniu się i sposobie sprawowania przywództwa.

Wśród stronników Wałęsy istnieje autentyczniejsza różnorodność postaw — od lewicowych (np. Wojciech Giełtyński, współodnawiciel PPS) poprzez Centrum po zdecydowanie pravicowe (ZCh-N). Te ostatnie niekiedy poczynają brać górę i, będąc na ogół kontynuacją „narodowej” ideologii Dmowskiego, lekko zakłócają wizerunek Wałęsy jako sukcesora zasad J. Piłsudskiego. Posiada on wszakże atut jakim jest poparcie tej części starego środowiska piłsudczykowskiego, która jakby nie wierzyła w możliwość samodzielnego zaistnienia na scenie publicznej.

Generalny kierunek polityczny Wałęsy bezsprzecznie bliższy jest niż w przypadku jego byłego doradcy idealom Piłsudskiego. Wyraźniej postawione są sprawy gospodarcze (program Porozumienia Centrum), kwestie niezależności międzynarodowej — w tym stosunek do rozpadu ZSRP, a także ustrojowe zagadnienie silnej władzy prezydenckiej, zajmujące w poglądach Marszałka poczesne miejsce. Nadal jednak zbyt dużo jest niedomówień oraz uogólnień dotyczących takich problemów fundamentalnych jak przejście i ciągłość legalnej władzy RP.

O ile Józef Piłsudski walczył o wolność od samego początku z otwartą przyłbicą, o tyle Wałęsa dał sobie narzucić ograniczenia „okrągłego stołu”, które dopiero po dłuższym czasie odrzucił. Inspiracja niepodległościową w poczynaniach Lecha Wałęsy jest widoczna, ale wydaje się, że nie odgrywa głównej roli. Przywódca „S” przyzyszczył już wszystkim do stopniowej ewolucji poglądów w miarę deaktualizacji ustaleń Magdaleny i „stołu”. Można więc żywić pewną nadzieję na zajęcie ostatecznego stanowiska niepodległościowego tj. „piłsudczykowskiego” przez Wałęsę —

kwestie programowe, nie pusta frazeologia ani zewnętrzne podobieństwo legendy.

Program głoszony ongiś przez Marszałka J. Piłsudskiego daje się — w maksymalnym skrócie — ująć w trzech zasadniczych punktach:

1. Niepodległość Rzeczypospolitej oraz zagadnienia związane z jej utrzymaniem, tzn. armia, polityka zagraniczna (równowaga między Niemcami a Rosją, sojusz Międzymorza).

2. Walka z korupcją i nadużyciami.

3. Taka organizacja systemu demokratycznego, aby zapewnić mu sprawność i skuteczność.

Odnajdujemy te kwestie w programie wyborczym L. Moczulskiego („Konieczność przełomu”) a także w postulatach Konfederacji Polski Niepodległej. Punkt pierwszy wiąże się dziś z szybkim wycofaniem Armii Czerwonej z naszych ziem, ze współpracą z niepodległą Litwą, Białorusią i Ukrainą, dla których Polska znów mogłaby być łącznikiem cywilizacyjnym i kulturowym z Europą oraz z sojuszem z innymi wywołującymi się narodami.

Realizacja punktu drugiego nie obejduje się bez sprawiedliwego osądzenia winnych przestępstw przeciw narodowi w latach minionych. Punkt trzeci wymaga bardzo rozsądnego podejścia do kwestii przyszłej konstytucji, której głównym zadaniem będzie zapewnienie demokratycznej stabilności poprzez trwałość i reprezentatywność naczelnych władz. Moczulski jako punkt wyjścia przyjął — legalną do dziś — Konstytucję Kwietniową, napisaną przez piłsudczyków, na podstawie ogólnych wskazań Piłsudskiego. Kwestia dyskusyjna jest czy ustawa zasadnicza z r. 1935 w pełni odpowiada współczesnej Polsce, ale jej ramowe założenia niewątpliwie zachowują aktualność. Ważnym problemem pozostaje zapewnienie prezydentowi optymalnego udziału w rządzeniu krajem. Choć nie jestem członkiem KPN, myślę, że Moczulski w swojej kampanii wykazał duże zrozumienie tych własnie zagadnień.

Jak widać każdy podkreśla w spuściznie Marszałka to, co jest mu wygodne. (Ba, nawet nazwa obecnego organu b. PZPR miała być nawiązaniem do „Trybuny” Piłsudskiego!) Wygląda wszakże na to, iż KPN wywoliła to, co istotne.

Po prezydenckich szybkimi krokami zbliżają się wybory parlamentarne. Problemy polskie wyglądają po latach nieco inaczej, kryterium „piłsudczykowskie” nie musi być podstawowym przy wyborze wśród opcji politycznych. Może natomiast stanowić pozytywne kryterium pomocnicze.

Rafał Pankowski

P.S. — Już po ukończeniu tekstu natrafiłem w kiosku na obszerną „Deklarację Ideowo-Programową” Stronnictwa Legionów Pracy. Stanowi ona niebawym wprost potok wzniosłych słów, niestety konkretnych jak na lekarstwo oprócz deklaracji poparcia cyt. „tysięcznych rzeszy członków i sympatyków” SLP dla T. Mazowieckiego oraz potępienia Coca-Coli, postawionej na równi z alkoholizmem i narkomanią. Nie tędy droga!



ZBIGNIEW MOTYCZYŃSKI w czasie wojny był żołnierzem warszawskiego Kedywu, a następnie 27 Wołyńskiej Dywizji AK. Internowany przez Sowietów, wcielony został w szeregi II Armii Wojska Polskiego, z którą przeszedł cały szlak bojowy. Po zakończeniu wojny przedarł się na Zachód gdzie wstąpił do II Korpusu Polskiego. Do Polski wrócił w 1947 roku.



Zbigniew Motyczyński jest doktorem nauk ekonomicznych. Od lat związany ze środowiskiem piłsudczykowskim, pełni funkcję prezesa Duszpasterstwa Piłsudczyków. Kawaler orderu Virtuti Militari, Krzyża Walecznych i Krzyża AK.

● Kiedy Jędrzej Jędrzejewicz użył słowa doktryna, obecny przy tym Marszałek Piłsudski zareagował gwałtownie mówiąc „Doktryny! Doktryny! To śmierć dla myśli, to martwota, to zerwanie z rzeczywistością.” Piłsudski był pragmatykiem. Był niechętny wszelkim rozważaniom teoretycznym. Do czego więc powinni odwołać się ci, którzy mienią się piłsudczykami?

— To jest bardzo trudny problem, dlatego że Piłsudski rzeczywiście nie stworzył zwartej konstrukcji teoretycznej, ale swym czynem, swoją działalnością dał o wiele większą wartość niż dać może jakakolwiek praca teoretyczna, która jest zwykle pewnym uproszczeniem, zawężeniem i wreszcie, co jest oczywiste, wynika z możliwości intelektualnych autora. U Piłsudskiego mamy natomiast kopalnię doświadczeń, z których trzeba umieć korzystać. Oczywiście istnieje wielki problem wyboru, bo trudno jest czerpać ze wszystkich doświadczeń Piłsudskiego, ale myślę że można wyodrębnić pewne charakterystyczne cechy jego działania.

Jestem głęboko przekonany, że podstawowe znaczenie miało podjęcie walki w PPS, a później przygotowanie atutu polskiego do katalizmu jakim była wojna światowa, a więc wprowadzenie do gry elementu siły. Jakkolwiek na początku, ten element był z punktu widzenia fizycznego mały i ludzie skłonni są uważać, że nie mógł on liczyć się, to jednak było to wprowadzenie atutu polskiej krwi. A krew i pot w owym czasie decydowały. To był atut polityczny i posłuszenie się nim okazało się jedynie słusznym działaniem i jedynie praktycznie mającym sens.

Gdy siły mocarstw miały rosnąć, a siły każdej formacji wojskowej. A jeśli ta formacja okazała się być bardzo dobrą, to wpływało to na jej znaczenie.

Niezależnie od walorów bojowych, Legiony były wojskiem głęboko ideowym. Postawa żołnierzy była w dużej mierze wynikiem pracy Piłsudskiego, wynikiem wychowania przez czyn. I to jest, jak sądzę bardzo istotne. Piłsudski kształtował Legiony nie tylko organizacyjnie, ale nade wszystko ideowo.

● **Wychowywał swych żołnierzy na odpowiedzialnych obywateli przyszłego, niepodległego państwa polskiego.**

— Tak. Przywiązywał do tego olbrzymią wagę i udało mu się doprowadzić, sprawić, że wśród legio-

nistów powszechna była postawa pełna honoru, odpowiedzialności, ale i pogody, junactwa, inteligencji. Było to coś szczególnego, coś co dało charakterystyczny rys Wojsku Polskiemu.

● **Wychowanie oparte o wspomniane przez pana wartości ukształtowało także pokolenie Kolumbów.**

— Oczywiście. Wyrastająca podczas dwudziestolecia generacja

oreźnemu. Zwycięstwo militarne miało ogromne znaczenie dla psychiki narodu, miało moc życiodajną. Fakt, że żołnierz polski zwyciężał, miał podstawowe znaczenie dla samopoczucia narodu, dla wyrwania go z sidła kompleksu niewoli, które po ponad stu dwudziestu latach zaborów ograniczały wciąż jego aktywność.

Piłsudski doskonale zdawał sobie sprawę ze skutków niewoli. Bolał nad tym, że ludzie nie potrafili myśleć kategoriami państwa, dobra ogólnego.

● **Dzisiaj jesteśmy w sytuacji podobnej. Wielu nie rozumie co znaczy „być we własnym domu”.**

— Bo mamy za sobą czterdzieści kilka lat skażenia komunizmem. Wydaje się, że pół wieku to niewiele, a przecież widzimy doskonałe skutki tego skażenia. Mówimy jednym językiem, a jednak wspólny język, wspólne pojęcia, w zależności od stopnia skażenia są różnie rozumiane.

Bardzo ważne jest by uświadomić sobie skutki takiego skażenia, zniewolenia. Dopiero po uświadomieniu sobie, że jesteśmy chorzy możemy zacząć leczenie. Możemy zacząć wyrwać się ze zniewolenia.

Piłsudski starał się pokazać Polakom ten patologiczny stan w jakim byli, by potem leczyć go. Leczyc odwołując się do tradycji, organizując obchody rocznicy powstania styczniowego, przywołując legendę Traugutta, sprowadzając na Wawel proch Słowackiego. Ale nie zapomniał o tym podejmując decyzje

dzieli. To był owoc działalności rodziny, Kościoła, szkoły i wojska. Wychowanek dostać musiał jedynie podstawowe zasady postępowania jednostki, do końca niczego mu nie mówiono, ale oczekiwano z jego strony reakcji. Dopiero wtedy była całość, gdy prawidłowo reagował on na sygnały, które doń docierały. Dopiero wtedy, gdy podstawowe zasady, takie jak: uczciwość, męstwo, odpowiedzialność były powszechnie akceptowane. I to udało się osiągnąć. To było wychowanie przy pomocy szyfru, a jego powodzenie zależało od aktywności zarówno nauczyciela, jak ucznia.

Szyfr Piłsudskiego powodował, że ludzie reagowali w taki sam, albo prawie taki sam sposób. Stosunek do państwa stawał się podobny. Poznaniacy, gdzie dominowała endecja, z punktu widzenia stosunku do państwa, zachowywali się tak samo jak królewscy, czy galicyjscy. Właśnie podobne, wynikające z podświadomości reakcje, a nie wyuczone na pamięć wzory zachowań, były ogromnym sukcesem dwudziestolecia. Byliśmy bardzo blisko wspaniałego państwa.

● **Jakie, pańskim zdaniem, mamy szanse zbliżenia się do tego wzoru?**

— Sądzę, że będą one jeżeli uda się przywrócić świadomy i odpowiedzialny stosunek społeczeństwa do własnego państwa. Dzisiaj, kiedy mówimy o unifikacji, o zjednoczeniu Europy problem niepodległości ztraca swoją ostrość.

Być piłsudczykiem

Rozmowa z Dr. ZBIGNIEWEM MOTYCZYŃSKIM

sprawdziła się w czasie okupacji, bo wychowana została właśnie w tradycji Legionów, w kulcie armii, kiedy służbę w wojsku każdy uważał za swój święty obowiązek. Oczywiście kult armii to nie znaczy kult militarystki. Gdy po wojnie jeden z moich przyjaciół powiedział, że niepotrzebnie mieszał się w konspirację, bo zawsze był naukowcem i wojsko nie interesowało go, spytałem dlaczego jednak w nim był. Odpowiedział pytaniem „A czy można było nie być?” W tym jednym zdaniu wyłożona jest ukształtowana przez Piłsudskiego, powszechna w społeczeństwie postawa. Przekonanie, że służba, a szczególnie służba w wojsku jest czymś oczywistym, koniecznym i niezbywalnym. Mieliśmy różny stosunek do wojska, do uniformizmu, ale potrzeba służby, wypełnienia obowiązku była absolutnie naturalna. I to właśnie: gotowość do służby, ideowość, poczucie obowiązku zostało w potworny sposób zmarnowane. To jest chyba największa strata. Komuniści zniszczyli gospodarkę, ale sądzę, że większego spustoszenia dokonali marnując dobroć wychowania społeczeństwa.

● **Waga, jaką Piłsudski przykładał do problemu wychowania społeczeństwa, wynikała z tego, że nie miał on najlepszego zdania o Polakach i właśnie w wychowaniu widział dla nich ratunek.**

— Wykorzystywał w tym celu szkołę i wojsko. Piłsudski doprowadził do odzyskania niepodległości, odparł sowiecki najazd i zbudował podstawy, fundamenty państwa. Bardzo istotnym był fakt, że państwo to powstało dzięki wysiłkowi

polityczne. Dlaczego nie wprowadził po roku 1926 dyktatury? Dlaczego nie uczynił tego, mimo że były to czasy, gdy taka forma rządów była bardzo popularna, a totalitaryzm, czy to komunistyczny, czy faszystowski święcili triumfy?

To są pytania na które powinni odpowiedzieć wszyscy zajmujący się w Polsce polityką.

Ja sądzę, że Piłsudski nie sięgał po dyktaturę właśnie dlatego, że chodziło mu o wychowanie, o wyciągnięcie społeczeństwa z kompleksu niewoli.

● **Przeciwnicy Marszałka twierdzili, że przejście władzy na drodze zamachu stanu miało skutek demoralizujący społeczeństwo.**

— Piłsudski dokonał zamachu stanu, bo państwo tego wymagało, ale nie poszedł po tej drodze do końca. Wiedział, że ten naród nie pozbędzie się piętna niewoli, jeżeli przyjmie rządy autorytarne. W piśmie w Magdeburgu liście do Lubomirskiego, jasno stwierdzał, że tym narodem dyktaturą rządzić się nie da. I był konsekwentny. Po roku 1926 przejmuje kontrolę nad całością, ale jednocześnie utrzymuje formę państwa demokratycznego, z parlamentem, z opozycją która oczywiście była ograniczana, ale ograniczając partie polityczne Piłsudski nie ograniczał społeczeństwa, by ponownie nie wpędzić go w marazm zniewolenia.

● **Stwarzał społeczeństwu możliwości działania, ale wymagał, by podporządkowało się ono zasadzie solidaryzmu.**

— Ale solidaryzmu naturalnego. Takiego jaki był w okresie okupacji, kiedy nikt nikomu nie mówił jak ma postępować, ale wszyscy to wie-

Różnice będą jednak istniały zawsze. Europa nie podzieliła się jedynie w sposób sztuczny. W tym są przesłanki obiektywne, naturalne. One mogą tracić na znaczeniu, ale nie znikną.

Naiwnością jest sądzić, że organizacja państwowa przestanie istnieć. Dla piłsudczyka idea państwa pozostanie nadrzędna.

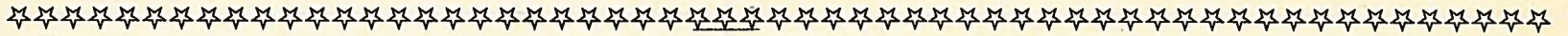
● **Panie Doktorze, co dzisiaj znaczy — być piłsudczykiem?**

— Piłsudczyk to ktoś, kto czuje, rozumie znaczenie państwa polskiego. Ktoś, kto idee, koncepcje polityczne potrafi wprowadzić w czyn, bo sama idea, sama koncepcja teoretyczna bez czynu jest nic nie warta. Wreszcie powinien być wierny imponderabilom, być prawym, być męznym, a więc mieć odwagę, w tym odwagę cywilną. To jest trudne, ale nie wolno z tego rezygnować.

Niestety, ani szkoła, ani Kościół Katolicki nie naświetlili we właściwym świetle i z odpowiedzialną mocą tych spraw, chociaż w wielu wypowiedziach Ojca Świętego znaleźć można zgodność z systemem wartości, który był bliski Józefowi Piłsudskiemu.

Dlatego istnieje potrzeba powołania społecznego ruchu piłsudczyków. Byłby to ruch polskich radykałów, to znaczy ludzi, którzy odrzucają jakąkolwiek lewicowość, prawicowość, innowację dla innowacji. Byłby to ruch ludzi, dla których państwo byłoby wartością nadrzędną, dobru jego wszystko podporządkowane, a siła społeczeństwa i jednostki wynikałaby wtedy z siły państwa.

Rozmawiał
RADOSŁAW RYBIŃSKI



AUTORYZOWANA
STACJA
OBŚLUGI

POLSKI 126p
FIAT

mgr inż. GRZEGORZ DUKIEWICZ

Warszawa,
ul. Jubilerska 6c

Wypożyczalnia Kaset Video



Warszawa
ul. Litewska 13
☎ 21-11-00

● zdrowe ● zdrowe ● zdrowe

PLASTINA

zabawka dla twego dziecka
w wielu kolorach

**KUP PŁASTINĘ, MASZ
SZCZĘŚLIWE DZIECKO**

Producent: AJO SC Warszawa ul. ASTRONAUTÓW 16a m.20
atest: PZH-5847/90

ZAPRASZAMY

● zdrowe ● zdrowe ● zdrowe

● zdrowe ● zdrowe ● zdrowe

**POL
RUS**

„POL-RUS”

Oferuje najtańsze w kraju materiały biurowe (papiery maszynowe,
do faxów i teleksów)

ul. Wyszyńskiego 23/8
70-200 Szczecin
sp. 699 tel. 394-63

Biuro Handlu Zagranicznego „POL-RUS” w Łodzi
ul. Tkacka 9a telefon 784-364 telex 886622 txcab

**WYDAWNICTWO
POLSKIE**

KPN

WYDAWNICTWO POLSKIE

- oferuje wszelkie usługi poligraficzne dla instytucji i osób prywatnych, gwarantowana wysoka jakość i terminowość wykonania
- ponadto posiada w sprzedaży:

SŁOWNIK ROLNICZY
POLSKO-ANGIELSKI
i
ANGIELSKO-POLSKI

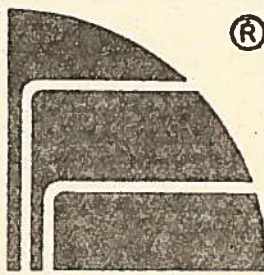
PISMA WYBRANE
J. PIŁSUDSKIEGO

KSEROKOPIARKI ★ TELEFAXY

NP 1215 - 28.000.000, ★ FAX 270 - 18.500.000.

SKŁAD CELNY Serwis w 48 h

Canon



01-134 W-wa ul. Wolska 56/8 tel/fax 32 95 25 telex 817648 tech pl **NEW-TECH**





29 listopada w godzinach wieczornych z ust Andrzeja Zaniewskiego padło twierdzenie, że dzięki najmłodszym warszawiakom poezja polska nie jest już sprawą emerytów. A ja myślałam, że przestała już być w latach 70-tych, kiedy to starzy socrealistyczni chwalcy odeszli silnym i zwartym szeregiem do KOR-u bądź na ciepłe posadki w pobliżu gmachu KC.

Młoda poezja żyła odtąd podziemnym ale własnym życiem omijając zarówno cenzurę jak obrażonych krytyków — ignorantów, byłych poetów.

Teoretycznie nie mamy już cenzora, władza nie wściubia nosa do wszystkiego i nie pilnuje słusznego kierunku rozwoju literatury. A jednak wszystko ciągle znajduje się w rękach emerytów. Myślę nie o tych, którzy chadzają w bucikach sprzed stu lat i siorbią smętną kuroniówkę. Myślę o tych emerytach, których stać dziś na taksówkę i na wakacje w Konstancinie, którzy z zaangażowaniem robią w odrowie a kompromitujące ich tomiki wierszy z lat stalinowskich próbują cichcem wynieść m.in. z biblioteki Domu Literatury. Jest takich kilku zwłaszcza dwóch z SPP, przyłapano ich już kilkakrotnie. Ci sami pewno emeryci zrobili w ramach Warszawskiej Jesieni Poetyckiej aferę bez precedensu. Na wieść o mającym się odbyć wieczorze poezji stalinowskiej wpadli w panikę i zaczęli szantażować organizatorów. Nie wiem jakich użyli form nacisku. Dość, że nacisnęli skutecznie, a ci drudzy emeryci, naciskani poczuli się jak za dawnych lat. Z ulgą w sercu odwołali poezję stalinowców i na ich miejsce dali Gałczyńskiego. Taki Konstany Ildefons to i bezpieczny i nawet może być zabawny. **Andrzejowi Zaniewskiemu**, jurorowi Warszawskiej Jesieni do dziś nie przyszło do głowy, że w klubach studenc-

kich i osiedlowych, w szkolnych harcówkach, kiedyś pomimo mrocznych czasów czytało się głośno Miłosza. I że dziś tworzą się grupy poetów skazanych mimo „odnowy” na niebyt i

Poeci i emeryci

bez szansy na debiut. Poetów lepszych niż rządząca do niedawna „Poezja” i poezją siłwa Gąsiorowskiego i Wawrzkiwicza. Gdy w 1987 roku po raz pierwszy zetknęłam się z dorobkiem grupy „Reflektor” z Bytomią, wiedziałam, że nie wezmę już do rąk miesięcznika „Poezja”. Pisałam wtedy o bytomskich konkursach, o nocnych imprezach pod nazwą „Północ Poetów”. Wspominałam o poetach z ostatnich klas licealnych, którzy imponowali

dojrzałością i znajomością poetyckiego tworzywa.

Niedługo potem spotkałam poetów z KPN, (Konfederacja Poetów Niezależnych) z akademika na Kickiego. Ci próbowali przebijać się przy pomocy warsztatów poetyckich organizowanych przez **Jana Zdzisława Brudnickiego**, w Staromiejskim Domu Kultury. Brudnicki obiecywał młodym gruszki na wierzbie w postaci umożliwienia druku. Skończyło się na gruszkach. Dzięki życzliwości prezesa Oddziału Warszawskiego ZLP, **Romualda Karasia** w ramach tegorocznej Jesieni Poetyckiej kolejne środowisko młodych mogło „zaistnieć”, mogło zaprezentować swój dorobek. Grupa OKO, biorąca nazwę od Ośrodka Kultury Ochoty, gdzie ma swą siedzibę, przygotowała imprezę poprzedzającą turniej jednego wiersza. Stremowani, spięci pierwszy raz występowali w tak poważnym miejscu jak klub Domu Literatury. Pierwszy raz przed publicznością znacznie liczniejszą niż dotychczasowe, własne środowisko i pierwszy raz w obecności profesjonalistów.

No i stało się. Profesjonalistom opadły szczęki. Spodziewali się piosenek-rymowanek a dostali po oczach kawałkiem ostrej poezji. Poeci z OKA rozbili też bank w turnieju jednego wiersza. Główną nagrodę otrzymała **Elżbieta Kroszczyńska**, cztery równorzędne wyróżnienia przypadły **Katarzynie Ciesielskiej**, **Dorocie Suwalskiej**, **Małgorzacie Szwed** i **Piotrowi Uścińskiemu**. Obok wierszy osób nagrodzonych prezentowane były utwory poetów związanych z grupą nieobecnych w cza-

dokończenie na str. 13

ELŻBIETA KROSZCZYŃSKA

Haanet. (Ojcu)

Na wielkiej równinie Haanet,
nad którą kotłuje niebo,
gdzie z rzadka zbłądzi ptak wędrowny —
szukam zgiętych źdźbeł trawy,
poruszonego żwiru, zgubionego cienia...
Nad wielką równiną Haanet,
którą wędruję każdej nocy,
słońce przesuwając się nieśpiesznie
za mglistą zasłoną.
Na dalekiej równinie Haanet
dźwięk wplata się w falującą tkaninę powie-
trza,
suchy wiatr gubi ślady...

Jan Chrzyciel

Po pas w mroźnej wodzie,
moje barki biczowane słońcem —
ostatni kamyk mozaiki
czekający na Mistrza.

Moja radość wyrosła na piasku,
rozpaczliwie uczepiona nadziei,
że ciało skale podobne,
nie na próżno przeorano
nadchodzącym wichrem.

Budziłem się nagle, zziębnięty,
jeszcze widząc własną głowę
w szkarłatnej poświacie.

Dagna Kusińska

Chcę wyznać
jak ten
co zranił węża
że winna jestem
śmierci pająka.
Lecz wiele bardziej
niż starych zwyczajów
i prawa borów
w sercu Europy
myśl moja sięga
wstydliwego lęku
który był moją
największą przewiną.

I choć pokutę odbyłam staranną
kornie się schylam
nad każdym przybyszem
z krainy ośmiu nóg i oczu
bo oto idzie pokraczna gorliwość
która się stała
i moim udziałem.

Posłałeś mnie, Panie...

Posłałeś mnie, Panie,
jak tzę serdeczną,
na drogę
po skamieniałych w uśmiechu twarzach.

I jako najbardziej
samotne z samotnych
ziarno piasku
w klepsydrze,

Posłałeś mnie, Panie,
na zatarcie imienia
na tablicy sprawiedliwych,
by uratować
jedyną wątpliwością.

Teresa z Avila

Białe ściany, za nimi cały świat —
osiłek, co w jukach niesie gliniane garnki,
rozbrzygujące się na kwiatach światło,
biały grzbiet fali, co umrze za chwilę,
ostrość żwiru, zapach oleju...
Tu — czarny krzyż i miłczący Chrystus
i usta pełne krwi.
Jak z oddalenia przyjąć aż tutaj
i obmyć pot Chrystusa z twojego czoła,
zebrać w dłonie ciernie, po których stąpasz,
zagoić rany, zabliznić, bliźniemu.

DOROTA SUWAŁSKA

Malowanie z modelu

To nic że nigdy nie usnę
W ramionach tego mężczyzny
Wystarczy mi terau rytm linii
Stopniowe nasycanie barw
dopóki z płótna białego
nie odejdę
na kolorowe prześcieradło.

KATARZYNA CIESIELSKA

Panie Boże
czy już wiesz
jak one cię kochają
potrafią wędrować
od małego palca
twojej stopy
do zmysłowych ust

czy widzisz
jak pod twoimi zębami
tracę głowy
gdyby szły
tylko po śladach
mogłyby czasem
urwać Cię na noc

MAŁGORZATA SZWED

Wszystkie pchły mojego psa
przeszły właśnie na mnie
i nie wiedziałam dotąd —
jak bardzo cierpiać
Śpią teraz
w swoim małym równouprawnieniu
rzędem
najedzone
A ja czuwam nad śpiącym psem
Zasłużył

PIOTR UŚCIŃSKI

Kiedy Ziemia zamyka oczy
zadziwia mnie jej niepojęta zdolność selekcji
o rzeczach niedoskonałych
mówi się wówczas szeptem
tak żeby nie naruszyć porządku wszech-
świata
Mój przyjaciel nie jest niewidomy
nie jest też upośledzony
ale jego zdrowe serce odrywa się
każdego dnia od jego ciała
i lata po dzikich polach wyobraźni
i nie umie tego wytłumaczyć



● **Należał Pan do najbardziej prześladowanych poetów PRL-u, pańskie tomiki ukazywały się tylko w II obiegu, wiersze znane były nielicznym czytelnikom. W tym roku został Pan zaproszony do udziału w Warszawskiej Jesieni Poezji, miał Pan okazję przypomnieć swoje wiersze szerokiej publiczności. A Pan tę okazję odrzucił wycofując się w ostatniej chwili z tej imprezy. Czy to logiczne?**

— Logiczne. W drugim obiegu wydałem właściwie jeden tomik, „Kordian i Cham”, tyle że w trzech różnych wariantach; za każdym razem umieszczałem w nim wiersze zdejmowane przez cenzurę. I to było logiczne. Druk podziemny, czytanie zakazanych wierszy na „nielegalnych” spotkaniach to był protest przeciwko cenzurze. Z Warszawskiej Jesieni Poezji wycofałem się także protestując przeciwko cenzurze — i to było logiczne.

● **Przecież cenzura już nie istnieje.**

— U nas zawsze istniały dwie cenzury: oficjalną i nieoficjalną. Pierwsza była w rękach aktywistów partyjnych, druga przeważnie w rękach byłych aktywistów partyjnych, którzy zmienili organizację, ale przecież nie zmienili gustów. Pierwsza działała poprzez urząd na Mysiej, druga poprzez „Zeszyty Literackie” czy „Krytykę” czy po prostu wszechobecną plotkę. W sumie formacja komunistyczna i postkomunistyczna miały monopol na manipulowanie kulturą. Krytycy starszego pokolenia w rodzaju Marty Fik czy młodszego — w rodzaju Szarugi robili w II obiegu to samo, co Nawrocki albo inny Masłoń w pierwszym, kierunek ich ataku był ten sam. Chodziło o niedopuszczenie na rynek wszystkiego, co uznali za „prawicowe”, więc endeckie, piłsudczykowski itp. No, krytycy partyjni tropili jeszcze antysowietyzm i rzecz jasna antypartyjność. Ale to jedyne różnice. Z oficjalnego obiegu próbowano np. wyświęcić związanego z PAX-em Brylla, celowali w tym zwłaszcza Burek i Barańczak; w nieoficjalnym próbowano przemilczeć istnienie podziemnych wierszy Mocarńskiego, Kijonki czy Tomaszewicza czy — w całości wręcz — istnienie wydawnictw KPN. Teraz sytuacja zmieniła się na tyle, że upadł mecenat państwowy i wraz z nim cenzura państwowa — pozostała cenzura nieoficjalna, która, stoi na straży mecenatu nieoficjalnego, np. w formie stypendiów czy nagród zagranicznych. Zaczynają rządzić układy, ba, zaczynają wracać układy często aż z czasów stalinowskich — i przeciwko temu chciałem zaprotestować.

● **Z tego, co słyszałam w ZLP, nikt nie cenzurował Pana wierszy, miał Pan mieć dwa spotkania i to niezłe płatne.**

— Po pierwsze, wszystkie tego typu spotkania są płatne, tak jak płaci się za pracę aktorom czy estradowcom, tyle że mniej, po drugie, w porównaniu z tym, co przez lata zarabiali „w literaturze” udający pisarzy aktywiści partyjni, różni Nawroczy, Gąsiorowscy, Wawrzkiwiczowie to są to śmieszne grosze; po trzecie, skoro nie wystąpiłem to nie zarobiłem i nie ma mi czego wytykać i po czwarte nie zostały ocenzone moje wiersze...

● **Ależ słyszałam, że wycofał się Pan z powodu „obciążenia” pańskiego wieczoru!**

— Tak, obciążono wieczór, który przygotowywałem, ale nie miały być na nim prezentowane moje wiersze, moich wierszy rzeczywiście nikt nie kreślił. Za to skreślono wieczór „poezji stalinowskiej w Polsce”, który przygotowywaliśmy wspólnie ze Zbigniewem Kuthanem.

● **Przepraszam, czy chodzi o tego poetę katolickiego i wydawcę?**

— Tak, z tym, że wydawcą był wraz z ojcem, tuż po wojnie, potem władze ludowe zlikwidowały wydawnictwo, to też przyczynek do czasów stalinowskich. Ale proszę nie myśleć, że to była próba rewanzu z jego strony, choć miałby do tego prawo. Nie. Chodziło mu o prezentację ale i o głęboką analizę epoki stalinizmu poprzez wypowiedzi jej poetów.

● **A więc o likwidację białej plamy lat 1949—53?**

— Tak, z tym że stalinizm zaczął się u nas już w roku 1939, od wiersza Adama Ważyka „Do inteligenta uchodźcy” czy od pierwszego polskiego wiersza o Stalinie napisanego przez Stanisława Leca. Tak zaczęła się kolaboracja, której manifestem stał się artykuł Aleksandra Wata „Polskie, sowieckie

pisatieli”. Ta kolaboracja trwała do lat pięćdziesiątych i dłużej. Więc to nie był epizod czteroletni, to nie był czyjś błąd młodości. To był po prostu sposób życia. I to był też model kultury mający obowiązywać w PRL. Uważaliśmy, że trzeba o tym publicznie podyskutować, totalitaryzm skoro był możliwy to znaczy, że jest możliwy, że jest wciąż niebezpieczny. Nie wolno o tym było mówić w PRL-u, teraz można było po raz pierwszy, na imprezie, która gromadzi wielu twórców, ludzi inteligentnych, wrażliwych, no i młodzież, której o tym nie uczono. To mogła być najważniejsza impreza Warszawskiej Jesieni Poezji.

● **Czy nie boi się Pan, że byłaby to tylko tania sensacja?**

— Może sensacja, ale nie tania. Sensacja w tym sensie, w jakim sensacją jest prawda o współpracy Bieruta czy Żymierskiego ze służbami specjalnymi Sowietów, takie „sensacje” są konieczne, jeśli kultura ma być oparta na prawdzie, a nie na kłamliwej propagandzie. Ale to nie miało być „tanie”, nie chodziło o wynalezienie w czyimś życiorysie paru wierszy stalinowskich, po to, by go skompromitować. Na pewno kompromitacja byłaby jakimś produktem ubocznym, tego by się nie dało uniknąć, ale to byłaby zarazem jedyna, bardzo łagodna kara za dawne zbrodnie przeciw kulturze polskiej, zbrodnie, które nie mogą ulec przedawnieniu — bo wtedy nie działało prawo. Ale to wymierzenie sprawiedliwości to też byłaby, jak powiedziałem, „produkt uboczny”, nie to było celem imprezy, wymierzaniem sprawiedliwości powinny się zająć jakieś sądy moralne, obywatelskie. Celem tej imprezy miała być próba zrozumienia istoty stalinizmu, poznania mechanizmów — by w razie czego wiedzieć jak zapobiegać. Jestem autorem książki, właściwie dwóch książek na ten temat: „Rozdarty świat”, który miał trzy wydania



Znowu trzeba walczyć z cenzurą

Z BOHDANEM URBANKOWSKIM rozmawia Alicja Nowakowska

w podziemiu to była właściwie odbitka artykułów z „Poezji”.

● **Tych, za które wyrzucano Pana z pracy?**

— Tak, ale ja potem napisałem rozszerzoną wersję tej książki „Wzlot i upadek poezji sowieckiej w Polsce”; do dziś nie mogę znaleźć na to wydawcy, co jest przyczynkiem do rozmowy o tej drugiej cenzurze. Przemyślenia z tej książki miały być moim wstępem do tego skreślonego wieczoru poezji. Tu nie chodziło o pojedyncze wiersze, stalinizm był całą kulturą, czy ściślej antykulturą, miał swój wymiar ekonomiczny, polityczny, nawet religijny — i to wszystko chcieliśmy pokazać poprzez poezję.

● **Rozumiem, że „wymiar ekonomiczny” to „Wiosna Sześciolatki”, to jakieś wiersze Międzyrzeckiego o Nowej Hucie, czy „Świt nad Nową Hutą” Woroszyńskiego. Ale te inne wymiary? Przecież marksizm był programowo antyreligijny.**

— Tak i nie, był ersatz-religią, ale o tym może za chwilę. Wiersze Międzyrzeckiego o Nowej Hucie czy Mandaliana o „Hucie Częstochowa” to były nie tylko laurki. Nowa Huta czy Nowa Częstochowa to były już enklawy przyszłości, to był uobecniony już — zdaniem tych pseudopoetów — komunizm. A więc był to pośrednio dowód, że komunizm jest możliwy, że przyszłość już jest obecna. Te wiersze mają wymiar eschatologiczny ale i fatalistyczny, co warto podkreślić, są częścią fatalistycznego mitu o nadchodzącym Złotym Wieku. Nawiasem mówiąc, o tym złotym wieku pisał wiersze Bocheński, tyle że umieszczał go już dziś — w ZSRR. Wchodząc do Polski komunizm musiał wykonać dwie prace jednocześnie: niszczyć kulturę istniejącą i wstawić w jej miejsce własną, bo ludzie nie mogą żyć tylko na poziomie biologii, ludźmi steruje się poprzez kulturę. Niszczenie to ataki na kościół, na tradycje II Rzeczypospolitej, te zadania wykonywali wszyscy od Tuwima i Ważyka po Woroszyńskiego,

Wygodźkiego i Wirpszę. Ale próżnię trzeba było wypełnić, stworzyć ersatz-religię, w której byłiby nowi święci, nowe święta, obrzędy, nawet Bóg. Wiersz Broniewskiego czy Brzechwy o Stalinie to wiersze o nowym Bogu. Na bieżąco posługiwano się bardziej prymitywnymi metodami: przekupstwem, strachem. Przecież po wojnie Warszawa była zburzona, brakowało żywności, a poeci już stanowili dwór, już dostawali mieszkania, wille...

● **A strach? czy nie on był głównym bodźcem tych wierszy?**

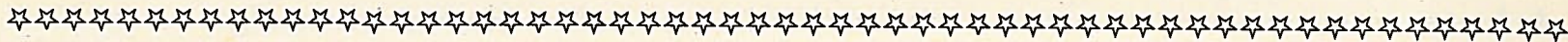
— I tak i nie. Tak — o ile był w ogóle kanwą tego stroju, wtedy bali się wszyscy, od szarego człowieka do Bieruta, każdy mógł być ofiarą. Nie — gdyż poeci stalinowscy nie utożsamiali się z ofiarami lecz z katami. Świadczy o tym obfita ilość wierszy poświęconych bezpieczeństwu i popularny wśród poetów kult Dzierżyńskiego. O Dzierżyńskim pisał wielki poemat Lewin, pisał o nim Bratny, pisał Mandalian w wierszu „Towarzyszom z Bezpieczeństwa”. Towarzyszom z bezpieczeństwa, tym „czuwającym w noc noworoczną” poświęcił poemat Woroszyński, opiewał ich Arnold Ślucki w „Pieśni tatrzańskie” i Witold Wirpsza w „Balladzie prokuratorskiej”. Mało tego, nasi poeci wydali w roku 1954 zbiorowo „Wiersze i pieśni poświęcone towarzyszom z bezpieczeństwa”. Czy może sobie Pani wyobrazić wiersze i pieśni poświęcone pracownikom gestapo? A to prawie było to samo. My wciąż stosujemy podwójną moralność. Inaczej oceniamy kolaborację z zaborcą z Zachodu, inaczej z zaborcą ze wschodu.

● **Kto zdecydował, że ten wieczór się nie odbył?**

— Wbrew pozorom to trudne pytanie. Personalnie Lesław Bartelski, który ten wieczór skreślił, a na jego miejsce wpisał swój wieczór o Galczyńskim. Ale w istocie zdecydowały układy, ta druga cenzura.

● **Czy próbował Pan wyjaśnić sprawę z Bartelskim?**

— Tak, ale to nic nie dało. Kręcił, robił aluzje, że



niby wielu literatów jeszcze działa, są na ekspozycjach, w SPP, w PEN-Clubie.

● **Rozumiem, że w ZLP jest wielu stalinowców, ale że w SPP?**

— Tam ich jest równie wielu. I to oni czują się zagrożeni. Nie działają wprost lecz tak, by można się wyprzeć... Plotką, aluzją. Bartelski, który miał ładną kartę z czasów okupacji, był w „Sztuce i Narodzie”, walczył z Niemcami, nie bał się — teraz boi się, że jakaś ciota rewolucji skrzywi się do niego albo nie odpowie na ukłon. Za tym kryje się już gra na zjednoczenie, gra o przyszłe stolki. Bartelski nie chce sobie robić wrogów.

● **Uchodził Pan za jednego z głównych opozycjonistów w ZLP, główne były pańskie wystąpienia na spotkaniu poetów w Warszawie i na zjeździe dramaturgów we Wrocławiu. Jak Pan widzi, niewiele się jednak zmieniło. Dlaczego nie odejdzie Pan z tego związku, np. do SPP?**

— Nie po to wróciłem do ZLP, żeby teraz występować. Ale zanim dokładniej odpowiem, winienem sprostowanie: byłem wśród opozycjonistów w ZLP, ale nie ja byłem pierwszy. Prawie od początku reaktywowania neo-Zlepu były w nim grupy, które krytykowały dyktaturę stanu wojennego. Był Cezary Leżeński i grupa pisarzy demokratycznych, bułtowali się pisarze katoliccy, wśród których rejdził Lichniak, wspaniałym politycznym mówcą był Witold Michałowski, autor książek wydawanych na Zachodzie, on najostrej atakował komunistów, był Grzegorz Łatuszyński. Proszę pamiętać, że zanim POP przy ZLP zażądała wyrzucenia mnie z pracy, co jest ewenementem, bo nigdy nie byłem członkiem partii, ta sama POP usiłowała wyrzucić ze Związku Zygmunta Trziszkę. Tak więc gdy wróciłem do ZLP, nurt opozycyjny już istniał, ja przyszedłem niejako na gotowe. Jest natomiast faktem, że słynne zebranie, na którym potępiono przeszłość i zaczęto lansować nową linię zaczęło się od wolty Sokorskiego. W swoim wystąpieniu przeczytał on oświadczenie sądu koleżeńskiego oczyszczające mnie z różnych głupich zarzutów, a więc pośrednio zaatakował POP, to wtedy wymagało odwagi.

● **Chodziło o zarzuty, które były powodem wyrzucenia Pana z pracy w „Poezji”?**

— Tak, po ukazaniu się moich artykułów o poezji stalinowskiej, POP zwołała zebranie i zaczęła potępiać, jak w czasach stalinowskich, zarzucając mi antypartyjność, choć nie byłem w partii, antysemityzm, choć nie tylko Żydzi byli stalinowcami, ba, nawet anarchosyndykalizm. Otóż Sąd Koleżeński potępił potem te ataki, Lewin się przyszył, że pisał je ze strachu na polecenie Nawrockiego, Sokorski przypomniał, że pisałem wielce pozytywnie o Żydach i nawet byłem autorem adaptacji „Rozmów z katem”. Tak mnie zaczęli oczyszczać, że bałem się, że i z antypartyjności oczyszczą i jak ja się znajomym pokażę! Na szczęście Koźniewski, który miał zawsze łeb z betonu, nie chwycił, że idzie o nowe i wrzeszczał: Towarzysze! ja jestem dumny, że wykazalem czujność, że zdemaskowałem wroga partii Urbankowskiego! Kazałem to specjalnie zaprotokolać.

● **Więc ma Pan sytuację jak w dawnym ZBOWIDZIE, gdzie oprawcy byli potem na równi z ofiarami. Pan jest teraz na równi z Koźniewskim. Czy nie lepiej przejść do SPP?**

— To znaczy od Koźniewskiego do Woroszyłskiego? Różnica jest taka, że Koźniewski upadł, a Woroszyłski stoi mocno. Koźniewski czy Nawrocki nawet nie przychodzą na zebrania, nastąpiła zmiana warty, szefem ZLP jest Kunczewicz, najlepszy znawca literatury polskiej i do niego mam zaufanie. Poza tym: jeśli uczymy się tolerancji to musimy się pogodzić z tym, że tolerancja jest właśnie tolerancją poglądów, których nie lubimy. Także osób. Mogę nie lubić Dobraczyńskiego czy Bratnego, ale muszę uznać „Listy Nikodema” czy „Kolumbów” za dzieła wybitne, tak samo nowelistykę Żukrowskiego czy „kresowe” powieści Auderskiej. Tak już jest, że wszystkich naszych twórców trzeba rozważać na dwóch szalach wagi: czy przeważa już dobro czy wciąż zło, które wyrządzili kulturze. Dotyczy to, niestety, i największych.

Wróćmy jednak do zasadniczego pytania: czym jest ten Nowy Jork? Myślę, że nie jest Ameryką, jest bowiem czymś znacznie więcej: to miasto jest kwintesencją świata w pigułce. Wieżowce Manhattanu otoczone domkami z Garwolina, 85 narodowości i 116 wyznań, czy odwrotnie, z tym miastem nigdy nic nie wiadomo, biali i żółci, czarni i przegranani i nakrapiani i tacy w szachownicę...

I ten wspaniały luz. Nikt nie ma do ciebie pretensji o to, że skądś przybyłeś, bo wszyscy są przybyszami — ten z Anglii, tamten z Japonii, ów z Polski, nikt nie ma pretensji o to, po jakiemu mówisz na ulicy, byłeś trochę kapował po angielsku. A jeśli nie kapujesz — to twój problem. Co do strojów — obowiązuje wszystko naraz, z wszystkich kontynentów i epok, to samo co do nakryć głowy. Na łeb możesz nasadzić cylinder, czapkę z daszkiem (Murzyni przeważnie noszą tyłem do przodu), także turban, prezerwatywę, żydowską myckę (zsuwa się — przybić gwoździem), a nawet hitlerowski hełm, który możesz nabyć już za dwa dolary. Polaków, zwłaszcza świeżo przyjechanych, poznać po tym, że chodzą w dżinsach, nawet po 5-th Avenue, jednej z głównych i bardziej wytwornych ulic Manhattanu. Prócz nich w dżinsach chodzą tylko Murzyni, ale ci

Nowy Jork

(ciąg dalszy)

przemykają się głównie streetami w stronę zachodnią (West Side), gdzie już dosłownie wszystko jest dżinsowe i obchamdane. Amerykanie, zwłaszcza Urzędnicy, chodzą po Manhattanie w garniturach i obowiązkowych krawatach; nawet gdy upał wydymuje ich z marynarek — śledzi na szyi pozostają. To znak kasty. Jeszcze tylko panie Urzędniczki, bez względu na wiek i pleć, muszą chodzić w rajstopach, w żakietach i bluzeczkach — najlepiej żeby białych. A poza tym jest luz. Wkrótce po przyjeździe do Nowego Jorku zobaczę nawet Murzynę (takiego przez dużą literę, by nie być posądzonym o rasizm), który przebrał się w mundur austriackiego feldmarszałka, hełm z pióropuszem i wyszedł na skrzyżowanie bodaj 7 Avenue z 34 Street i zaczął... kierować ruchem. W trzy minuty wszystko stanęło, zaczęło trąbić, kłąć, plakać i wycić, w pięć minut przyjechała konna policja, ale zamiast rozładowywać korek, zaczęła go podziwiać. Takiego burdelu jeszcze w Nowym Jorku nie było. Korek jakoś sam się rozładował, Murzyn poszedł do domu albo na inne skrzyżowanie. Zrobić mu niczego nie można, bo można zostać posądzonym o rasizm, a to tutaj najgorszy zarzut. Biały dawno dostałby pałą — ale biali nie stanowią już większości w tym mieście. Są mniejszością — jedyne, na co mogą liczyć, to zastrzyk czystej, żydowskiej krwi. Podobno z Rosji ma przyjechać w ciągu roku 200—300 tysięcy Żydów, którzy wyjadą do ukochanego Izraela, a „po drodze” utkną w Nowym Jorku. Nie dziwota: w Izraelu wciąż wojna, trzeba walczyć z trwającym już parę lat powstaniem, poza tym te upały, a co naj-

gorsze: nie ma antysemitów. A bez antysemitów uczciwy Żyd przestaje być Żydem.

W Nowym Jorku antysemitów nie brak. Przede wszystkim Murzyni, dla których Żyd to biały, poza tym Japończycy, Chińczycy, Wietnamczycy i oczywiście Arabowie. Filosemitami są głównie Polacy, którzy wolą dać się obrabować Żydowi w jego sklepiku, niż Murzynowi w metrze. A właściwie nie są filosemitami, są po prostu normalni i to mi się podoba. W Polsce wciąż jeszcze nie potrafimy traktować Żydów normalnie, tępy antysemityzm należy już do przeszłości, lecz jego miejsce zajmuje równie tępy filosemityzm, będący jakąś wstydliwą odmianą rasizmu. Filosemita też uważa Żyda za „innego”, gorszego, zakompleksionego — a więc trzeba go chronić, nie urazić, nie dowcipkować, uważać na każde słowo itp. Czasem demonstracyjnie prowadzi się z Żydem (najlepiej Marcowym) po Krakowskim Przedmieściu niby z chartem afgańskim czy inną papugą na smyczy i przeważnie... mówi z nim o antysemityzmie. Kompletna szajba. Dopiero w Nowym Jorku Polacy normalnieją. Kilka tygodni na Brooklynie czy południowym Manhattanie wystarczy, aby pojąć, że Żydzi są po prostu nam bliżsi nie tylko od Murzynów czy latynosów, ale także od wielu Europejczyków, zwłaszcza zachodnich. Wpływa na to zapewne nostalgia, wpływa brak znajomości angielskiego i poczucie wyobcowania. A Żydom można zrozumieć, co ważniejsze: oni nas rozumieją. Przenośnie i dosłownie: żyli w naszym kraju tyle lat (albo tuż obok, w Rosji), rozumieją nasz język i problemy. Po pół roku wspólnej dołi i niedoli, wspólnego użerania się z latynosami, wspólnych łęków przed Murzynami, nawet najbardziej zaborczy polscy anty- czy filosemici dochodzą wreszcie do wniosku, że właściwie niczym się od Żydów nie różnią. No, jest pewna subtelna różnica, ale raczej duchowa niż fizyczna, dość wstydliva. Zwrócił mi na nią uwagę pewien rodak, nieznanymi nazwiska, młody, ubrany w ciasną dżinsową kurtkę, którego poznałem w knajpce na ulicy Kaczora Donalda na Brooklynie. Otóż ten rodak tłumaczył, czym się różnią Żydzi od Polaków, zaczął nagle szarpać swoją kurtkę, a nie dawszy sobie rady z guzikami, poczęł rozpinać rozporek u spodni. Rozpina i wyciąga kawał dosyć taniej koszuli. Ja różnię się od Żyda tym — krzyczę — że on za taką koszulę dał Chińczykowi 3 dolary, a mnie, sprzedał za 5.99. To fakt. I chyba najważniejsza z różnic. Bo my wciąż nie potrafimy handlować.

A wracając do zasadniczego pytania... Nowy Jork to właśnie cały świat. Garwolin i wieżowce, a między wieżowcami wzorowana na francuskim gotyku katedra św. Patryka — najstarszy z liczących się zabytków, mający chyba ze sto lat! Najdziwniejsze są jednak... Pałace Kultury. Autentyczne. Na samym dolnym Manhattanie jest ich parę, okazuje się, że są tam od zawsze, od wcześniej niż u nas i niż w Moskwie. Tak. Pałace Kultury — hotele, domy mieszkalne i biurowce w tej formie — wynaleźli Amerykanie. To Rosjanie w ramach wysięgu z imperializmem zaczęli je naśladować, doganiać i przeganiać, robić większe, o większej kubaturze. I porobili. Tyle, że wyszły im trochę bardziej przysadziste i mają się do amerykańskich tak, jak przysadzista i zadzista ruska baba do smukłej Amerykanki. Reasumując: prawdziwe Pałace Kultury, prawdziwe Uniwersytety Łomonosowa są nie w Rosji, ale w Nowym Jorku, w tym mieście — syntezie świata.

(c.d.n.)

Poeci i emerycy

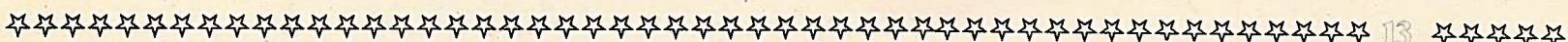
dokończenie ze str. 11

sie imprezy — m.in. Dagny Kusińskiej. Pierwszą nagrodę otrzymała Elżbieta Kroszczyńska. Jej wiersze głębokie i mądre przyciągają uwagę wielością obrazów. Śmiało sięganie do tradycji chrześcijańskiej i elementów mitologii klasycznej umacniają nastrój wypowiedzi. Wiele lat temu Elżbieta jako naiwna studentka, zachęcana przez przyjaciół złożyła wybór wierszy w „Iskrach”, wydawnictwie, które deklarowało wydanie całej serii debiutów. Wiersze zniknęły, ślad po nich zaginął i do dzisiaj nikt nic nie wie. Dziś Elżbieta Kroszczyńska jest cenionym historykiem sztuki i nie liczy na reklamę, ani na sukces, choć jej twórczość z pewnością doczeka się właściwej oceny.

Nie będę analizować jej tekstów. Poczytajmy sami. Zeszyt z wierszami Kroszczyńskiej można kupić za parę groszy w księgarnie ZLP na pierwszym piętrze.

Nie będę zadawać retorycznych pytań dotyczących przyszłości najmłodszych poetów. Pani Minister Kultury i Sztuki wysłałaby ich do Berlina po gumę do żucia i z tą gumą na Plac Defilad. Każdy wydawca odeśle ich do wszystkich diabłów, bo musi zarabiać na porno-brutalnym chłampie. Poeci emerycy nadal będą uważali, że polska poezja kończy się na nich i takie nazwiska jak **Hałas, Paluch, Kroszczyńska** do końca życia nic dla nich nie będą znaczyły.

MARTA KLEMENTIEFF



dokończenie ze str. 3

Waleśa na tym tie wypadł lepiej. Ogólnikowo mówił o programie, lecz miał rację, gdy stwierdził, że to ostatni dzwonek. Gdyby był nie ogłosil „przyspieszenia” — społeczeństwo odwróciło się od „Solidarności”, tak jak straciło zaufanie do jej części reprezentowanej przez Mazowieckiego. Genialnym posunięciem było powtórzenie kilkakrotnie, że ruch Tymińskiego (i po ona się Cimoszewicza) to antysolidarnościowa kontrrewolucja.

● 3 grudnia odbyła się w TV dyskusja poświęcona książce Tymińskiego „Święte psy”.

Druga runda

Dyskutanci wydrwili tanie efekciarstwo autora, przy okazji podali, że polska spółka Tymińskiego w Komorowie przyniosła w 1989 roku 15 mln straty.

Zauważono też (co ukłulo telewizorów), że Tymiński nie pomagał Polakom w ciężkim okresie — mimo że miał po temu środki.

● 4 grudnia odtworzona została nadesłana z Toronto audycja dobijająca Tymińskiego. Ukazywała ona nie tylko firmę (dość skromną), lecz także życie prywatne kandydata. Widzowie dowiedzieli się, że jest on psychopatą bijącym żonę (a nawet obrzucającym ją bigosem), że nie chciał ochrzcić dzieci — żona zrobiła to potajemnie, i że — co znowu zabolalo wielu odbiorców — nie nauczył dzieci polskiego.

Po tej audycji Tymiński był już odczarowany. Warto jednakże zauważyć, że odczarowano jedną połowę jego mitu. Zgodnie z tym, co mówiłem o myśleniu pragnieniem lub obawą, Tymiński był odczytywany jako zbawca lub jako ktoś, kto zagraża. Pozytywna część mitu gasła, tym wyraźniejsza była część ciemna: jakies związki z bezpieczeńką, narkotyki, Libia. Kojarżono go coraz częściej z ciemnymi siłami przeszłości, z przenoszeniem się różnych mafii z Berlina Wschodniego do Warszawy.

Powtórzę tu raz jeszcze: nie jest ważne, kim Tymiński był naprawdę. Mógł być ambitnym neurotykiem, który zobaczył jak w Peru wybory wygrał „Japończyk” i postanowił powtórzyć jego sukces, mógł być zrzutkiem z kosmosu albo agentem Mossadu. Ale był katalizatorem.

To Polacy są szarpani pomiędzy lękiem a nadzieją, między wiarą w jutro a zwątpieniem. Tymiński oferował złudzenia. Ci, którzy mają mniej złudzeń, głosowali na Waleśę. Wygrali w stosunku 3:1.

Brak miejsca nie pozwala na analizę innych elementów kampanii. Były w niej momenty dramatyczne — jak apel konferencji episkopatu podkreślający, iż wybór prezydenta musi być ukoronowaniem ruchu solidarności; były odezwę liczących autorów widzących zagrożenie ze strony skupiających się przy Tymińskim sił przeszłości. Dramat przeżyła także cała inteligencja: upadek Mazowieckiego to upadek intelektualistów, warstwa ta skazana została na wybór między dwoma ruchami w istocie populi-

stycznymi, antyinteligentkami. Do dyskusji pozostaje zresztą, czy wysługująca się przez lata komunistom warstwa ta zasłużyła na zaufanie narodu... Brak miejsca każe jednak przejść do wniosków wynikających z przygody polskiego „rewizora”. Można wyciągnąć ich kilka:

1. Polskie postkomunistyczne społeczeństwo pod jednym względem przypomina konsumpcyjne społeczeństwo Zachodu. Nie pod względem poziomu życia, pod względem bierności: jest masą. Dlatego reakcje stadne Polaków z taką dokładnością dały się przewidzieć i ująć w prawa statystyki. Nie pojawiła się, osobowość, która te prawa mogłaby zakłócić — czy programem, czy osobistą charyzmą.

2. Polacy nie głosowali na program, takiego nie było, wszystkie propozycje miały charakter ogólnikowy i demagogiczny. Dwie najbardziej rzetelne — ekonomiczna Rafała Krawczyka (obóz Bartoszcza) i polityczno-prawna Moczulskiego zostały odrzucone w I rundzie. Głosowano na zycioręsy, na wady i na mity. Prospektywny mit Kanady upadł — wybrano retrospektywną legendę „Solidarności”, cofnięto się do korzeni wierząc w Nowy Początek.

A więc w sposób magiczny przekreślono stan wojenny i Mazowieckiego, wracając — symbolicznie — do roku 1980.

3. Wybory prezydenckie nie były więc zwycięstwem Waleśy. Tym bardziej zwycięstwem Tymińskiego. Były zwycięstwem Sokratesa.

BOHDAN URBANKOWSKI

Jest zima 1960 roku. W ekskluzywnym amerykańskim liceum — szkole znakomitej, konserwatywnej i dusznej grupa uczniów (dziś powiedzielibyśmy — „fanów”) „umarłych poetów” zbiera się wieczorami w parkowej grocie (zapewne sztucznej). Czytają romantyków i własne wierszydła, próbują grać jazz i palić fajkę. Usiłują żyć po swojemu. Fanfaronują, wyglupiają się, zderżają z życiem. Jeden z nich, Neal staje wobec wyzwania ponad siły — sparaliżowany strachem przed ojcem, którego zbyt kocha, by się mu otwarci przeciwstawić (musi mu zresztą odpowiadać stricte wojskowymi formułami „yes, sir” i „no, sir”), przyparty do muru nie znajduje innego wyjścia, niż samobójstwo.

Można by powiedzieć — banalna historia. Czy to mało jest — także i u nas — szkolnych samobójstw nawet z bliźszych powodów? Ale dla Walton Academy jest to skandal, grożący zamknięciem szkoły. Musi znaleźć się winny — i musi nim być pedagog. Po prostu musi.

Z Walton do Wietnamu

No, może niezupełnie... Sprawę dalaoby się zatuszować, tym bardziej, że Neil zastrzelił się rodzinnym domu, nie w internacie i z broni własnego ojca. Ale dyrektor, sam nieudany belfer chce się pozbyć niewygodnego konkurenta, jedyne w szkole wychowawcy z prawdziwego zdarzenia, a zarazem patrona „Stowarzyszenia umarłych poetów”. Nie tylko z pobudek osobistych: Walton nie ma wychowywać — ona ma tresować „dobrych Amerykanów”.

Dlatego dyrektor wymusza z wstrząśniętych, rozhisteryzowanych młodzieńców zeznania, obciążające Keatinga, łamie charakter wedle najlepszych tradycji starej, patriarchalnej szkoły, metodami, które dziś często pochopnie nazywamy totalitarnymi. Keating nie jest zresztą bez winy — dobrze wiedział przecież, że odkrywający aktorstwo Neal okłamał go w ostatniej rozmowie.

Ale Todd i jego koledzy poniosą w życie nie tylko wspomnienie kłęski i hańby. Na pożegnanie „kapitana” staną na ławkach wszyscy — nawet cyniczny donosiciel, nawet trzymający się na ubożu zahukany astmatyk. A stary łacinnik, który dostrzegł

sens w niekonwencjonalnych metodach Keatinga będzie — jak to się nieraz zdarzało „klasykom” właśnie — duchem, ożywiającym Walton.

Młodzieńcy z Walton Academy, którzy ze łzami w oczach i gestem jawnego buntu żegnali swego Mistrza za kilka lat będą umierać w Wietnamie (prawda, znacznie liczniej będą umierać chłopcy z tej gorszej szkoły), niektórzy czynnie się jej przeciwstawiają, Toddy-Newanda może dołączy do hippisów... Jakie znaczenie mieć będzie w ich życiu keatingowskie „carpe diem”, jakie zaś — jego przykład, bo przecież Keating nie żył wedle tej maksymy, lecz w bardzo „archaicznym” duchu obowiązku, a nawet — posłannictwa?

Dramat w Walton był początkiem przełomu, jednego z największych za życia naszego pokolenia. Dziś nie ma już takich szkół, europejski system pedagogiczny został gruntownie przeorany (niestety, nie u nas). Po Presleyu przyszlif Beatlesi, po nich zaś — Pink Foyd ze swoim „Ty belferze,

odwal od nas się; w końcu jesteś tylko cegłą w murze tym” (The Wall). Dziś to raczej rodzice (Todd i jego koledzy, jeśli przeżyli) boją się swych dorastających pociec, niż odwrotnie. Zmienił się typ kultury, Bóg jeden wie, na jak długo. I czy rzeczywiście na lepsze.

Telewizyjne programy młodzieżowe w Polsce ogłosiły poszukiwanie „polskiego Keatinga”. W ten sposób wielu wspaniałych nauczycieli, których — mimo wszystko — wciąż jeszcze mamy, zostanie wyróżnionych imieniem człowieka, znacznie mniej od nich wartego. Ale dobre i to. Młodzi właśnie w Keatingu chcą widzieć ideał wychowawcy, Mistrza, którego zazwyczaj nie mają. Nie muszą dostrzegać niedopowiedzeń, zawieszę głosu Weira, który wcale nie jest jednoznacznie po stronie „kapitana” (ale pedagogów już powinni to widzieć). Weir jest po stronie jego uczniów — i wie, czym skończyła się ta historia: zbyt często śmiercią na wietnamskich ryżowiskach.

TADEUSZ ANDRZEJ OLSZAŃSKI

Kto jest kim naprawdę?

Nocami miewam ostatnio bóle głowy. Może to wpływ emocji związanych z kampanią, że się tak wyrażę wyborczą, może rezultat palenia papierosów i wypijania nadmiernej ilości kawy. Wtedy ze strachem tykam „kogutka”, wyczytałem bowiem ostatnio w „Expresie”, że każda taka tabletką to potencjalna śmierć. Albin Siwak miewając migreny podobno tykał czopki. Ja czekając na przejście bólu wyciągam z podręcznej biblioteki domowej cokolwiek i czytam.

Wstęp do „Listów z Ameryki” Sienkiewicza.

„Marks nazwał w „Kapitale” Stany Zjednoczone „kolonią Europy w ekonomicznym sensie”, a w „Płacy, cenie i zysku” dodał, że „w krajach kolonialnych prawo podaży i popytu sprzyja robotnikom”. Gorączkowo przerzucam strony. „Kapitalizm jako ustrój społeczno-ekono-

miczny, przynoszący szczęście masom okazał się utopią. W postawie ideowej Sienkiewicza następuje... przełom.”

Któż to napisał? Obecnie postać ogólnie znana, ceniona, publiczna...

Data wydania: maj 1956 rok.

Ból głowy wzmaga się. Wybieram z półki coś innego, trochę starszego. O, to ciekawe. Coś o Marszałku. Tytuł: Kto Polski bronił, a kto ją zdradzał? Śródtytuły: *Szczegółowe kariery arcydziały, Oszustwo u progu niepodległości, Zbójceki marsz na Kijów, U źródeł faszystowskiego przewrotu* itd. W tekście Piłsudski nazywany jest „starym agentem”...

Łykam drugiego „kogutka” zapominając o prasowych ostrzeżeniach i powoli dochodzę do siebie.

* * *

Przez ponad czterdzieści pięć lat

drukowało w PRL różne rzeczy. Część autorów przeniosła się na drugą stronę Styksu, część tworzy dalej, oczywiście w zupełnie innym tonie, innym duchu. Wpili się niektórzy sztucznymi szczękami w tak zwaną łódź odnowy i dalej płyną. Mówią do radiowych mikrofonów, nie czerwiwią się przed kamerami telewizyjnymi. Czytelnikom „Opinii” nie życzą bezsennych nocy i obolałych głów. Proponują natomiast w ramach wypoczynku świątecznego zabawę miłą i pożyteczną. Zabawmy się w detektywów. Sięgnijmy do poźółkowych kalendarzy, książek wydawanych podczas kolejnych dekad i wytropmy tych, co to po kilka razy zmieniali poglądy, pióra i twarze.

W prasie, radiu i telewizji co najmniej kilkaset osób poucza nas co i jak robić, jak i na kogo głosować. Wielu z tych mędrców płakało nad

zgasłym słońcem Stalina, pisało wzruszające nekrologi po śmierci kolejnych, wielkich przywódców patologicznie miłujących pokój, robiło mniejsze i większe kariery.

Rozumiem, że ludzie uprawiający zawód dziennikarza, pisarza, ba, nawet polityka, muszą czasami zachowywać postawy pragmatyczne, zimne jak psi nos i wyrachowane. Ale, mimo wszystko istnieje jakaś granica przyzwoitości. Jak już ktoś się wyglupiał do imentu przez lat wiele, a teraz przebiera się za Wallenroda, to już trochę niesmaczne.

Do tej pory nikt nie posypał sobie głowy popiołem, nie przyznał się do błędów i nie poprosił o zrozumienie.

Nie proponuję polowania na czarowników i czarownice. To byłoby bez sensu. Proponuję w zamian konkurs pod tytułem: kto jest rzeczywiście kim.

Cytaty z twórczości kameleonów wraz z ich nazwiskami mile widziane. Nie dajmy się zwariować, ale też nie dajmy się oszukiwać.

JAN TRAWIŃSKI

Prezenty od kolektywów

Ostatnie tygodnie pokazały, że resztki sił drzemiących w naszym sporcie uwiły sobie gniazdko w grach zespołowych. Trochę to dziwne, bo zawsze uważano nas za indywidualistów. Czasami z bożej łaski, ale zawsze.

A tymczasem koszykarze i piłkarki ręczne praktycznie już powróciły do sportowej Europy i świata. Zespół basketbolistów pokonał we Wrocławiu drużynę Włoch (wysoko notowaną) różnicą 10 punktów (91:81), szczypiornistki zaś, choć jedną, jedyną bramką przegrały z Austrią w Seulu i straciły szansę na start na igrzyskach olimpijskich w Barcelonie, zaprezentowały się dobrze.

Skromne bo skromne to prezenty pod sportową choinkę. Naj-

ważniejsze, że są. Czyżby święty Mikołaj zwany dawniej Mikołajem, a jeszcze dawniej Dziadkiem Mrozem, znowu zaczął pałać sympatią do kolektywów?

Dla mnie to jedyny rodzynek w zakalcu fundowanym nam od dłuższego czasu. W innych dyscyplinach rozprzestrzenia się marazm. Działacze kłócą się do upadłego. Piana leci zza drzwi siedzib judoków, łuczników, kolarzy, piłkarzy... Jednych z nóg zwala nienawiść i rozgrywki personalne, innym brakuje koncepcji. Wtajemniczeni twierdzą, iż czekanie na sportowego Godota nie jest czynnością bezsensowną.

W związku ze spodziewanymi a raczej oczekiwanymi zmianami na samej Górze, wiatr polityki nie

ominie także i ministerstwa kultury, fizycznej oczywiście. Złośliwi kolportują plotki, że tu i ówdzie do różnych gabinetów wpadają postacie młode oraz energiczne z okrzykiem: proszę się pakować. Oszczercy mówią także i o tym, iż na pewien czas nasze kontakty sportowe z Peru, Kanadą i ZSRR ze względów zasadniczych mają być ograniczone do minimum a może i zawieszzone.

Wracajmy jednak ze świata plotek do wspomnianych koszykarzy i szczypiornistek. Gratuluję podopiecznym trenera **Kosińskiego**, bo nawiązał mimo przeszkód obiektywnych i subiektywnych do tradycji. Gratulując piłkarkom, ręcznym dzielnej postawy na seuleskich parkietach zmuszony jestem do wyrażenia odrobiny współczucia. Otóż ich związek w dalszym ciągu nosi nazwę: Związek Piłki Ręcznej w Polsce (a niby gdzie?) natomiast nazwa Polski Związek Piłki Ręcznej czyli PZPR jakoś się nie przyjmuje i nic nie wskazuje na to by się przyjęła. Czyżby PZPR była pod opieką urzędu patentowego?

Czego należy życzyć polskiemu sportowi w okresie świątecznym? Według mnie przede wszystkim odkurzacza, który potrzebny jest naszej kulturze fizycznej jak kroplówka organizmowi osłabionemu do granic możliwości.

Zależy nam na sanacji moralnej narodu. Sport właściwie kierowany może, a raczej powinien być jedną z lokomotyw ciągnących i starych i młodych w kierunku opamiętania i ozdrowienia. Nie tylko moralnego.

JAN TRAWIŃSKI

Nomenclator, niewolnik zmęczony, pisząc niniejsze podanie, uprzejmie prosi o udzielenie mu bezterminowego urlopu wypoczynkowego. Prośbę swą motywuje tym głównie, że stały nadtytuł donosów nomenclatora: „dictum acerbum”, może i powinien skierować wyłącznie w stronę własnej osoby. „Gorzkie słowa” należą się nomenclatorowi choćby i za to, że jego podszepty, donosy, uwagi, i co tam jeszcze — psu na budę się zdały! Nomenclator zdaje sobie oczywiście

Dictum acerbum

Podanie

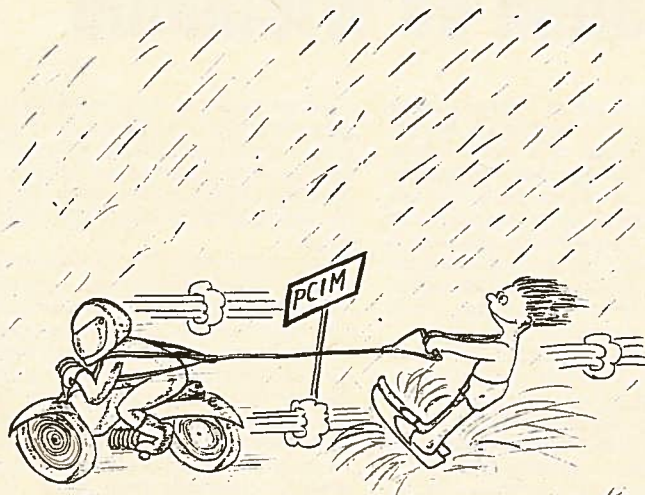
sprawę z tego, że to wyłącznie jego wina. Bo przecież nie zawsze powinno się winić głowę za to iż, w zetknięciu z książką wydała jedynie głuchy jęk; niekiedy jest to bezsporna wina książki właśnie. I tak, najprawdopodobniej, było z wieloma felietonami nomenclatora — to one były winne, nie zaś głowy odbiorców. Czego z kolei nie można powiedzieć o głowach szanownych PT obywateli głoszących na Stana Tymińskiego. Ale nie o tym miało „stać” w podaniu.

Poradto, nomenclator widzi bezdenny bezsens w pisaniu jako takim wogóle. Ani to się oplać, ani z tego pożytek dla bliźnich, ani redaktor tego nie chce czytać, ani zecer składać, ani korektor poprawiać, ani czytelnik polemizować. No to po co to komu? Kiedyś, w tych wspinających czasach, gdy jeszcze była cenzura, nomenclator — i nie tylko on, rzecz jasna — mógł liczyć na jednego przynajmniej wnikliwego i na swój sposób wiernego czytelnika — urzędnika Głównego Urzędu Kontroli Prasy i Wszystkiego Innego Co Mogło By Trafić Do Pojedynczego Choćby Odbiorcy. I właśnie dla tego jednego człowieka warto było się wysilać, bo, niekiedy, okazywało się, że mamy o czym pogadać. To znaczy on miał i — „nasz czytelnik, nasz pan” — zawsze miał rację! A dziś? Szkoda gadać...

Zatem, drodzy czytelnicy — odchodząc na bezterminowy urlop uwalniam całą szpalnę na ostatniej stronie, by mogły ukazywać się tam teksty godniejsze Waszych głów. Obiecuję jednak, że jeśli naprawdę będę miał Wam coś do powiedzenia, poproszę o odwołanie z urlopu. Myślę, że może stać się to nawet niedługo, już następnego dnia po inwestyturze prezydenckiej peruwiańskiego Kondora ustrojonego w pawie pióra i posługującego się kurzym mózgiem. Wtedy będzie można sobie poszaleć, bo i cenzura wróci, i безпеca, i ZOMO, i poligon atomowy będzie na Pustyni Błędowskiej. Ogólnie będzie fajnie.

Do zobaczenia zatem.

NOMENCLATOR



W dzieciństwie powtarzaliśmy sobie następującą zgadywanke: „Czarne na czerwonym jeździ po zielonym. Co to jest?”. Prawidłowa odpowiedź brzmiała: „Murzyn na „jawie” jeździ po trawie”. Dopiero wiele lat później, zupełnie przypadkowo, dowiedziałem się, dzięki czemu powstała ta niezbyt mądra zabawa. Otóż zgadywanke zrodziła się w 1955 r., w czasie Festiwalu Młodzieży w Warszawie. Wtedy to szerokie rzesze warszawiaków zobaczyły na własne oczy „prawdziwych” Murzynów, a motocykl „jawa” jawił się jako symbol luksusu...

Socjopsychologowie zapewne lepiej niż felietonista potrafiliby sformułować diagnozę. Wydaje mi się, że powyższa dziecinna zabawa jest dobrą ilustracją tego, co cechuje większość Polaków. Stanowimy swoistą mieszkankę ksenofobii z ciekawością świata, poczucia niższości wobec cudzoziemców z równie niewytłumaczalną chęcią imponowania obcym. Murzyn budził zainteresowanie, ale trzeba mu było pokazać, że Polak nie da się dmuchać w kaszę....

Najpierw oburzaliśmy się na Niemców, Czechów, Austriaków, Węgrów, Szwedów i towarzyszy

Nadzieje i rzeczywistość

Murzyn na Jawie

radzieckich, że nie przestrzegają postanowień helsińskich dotyczących swobodnego przepływu ludzi i idei. Nie bardzo chcieliśmy zwracać uwagę; że dla znakomitej większości podróżujących do tych krajów Polaków pod słowami „przepływ ludzi i idei” kryje się sformułowanie „przepływ handlarzy i towarów”.

i nie musieliśmy zbyt długo czekać, by karta odwróciła się. Polskę od różnych stron zalewają handlarze z ZSRR, niemieccy „zapatrzeniowcy”, rumuńscy żebracy. Postępują dokładnie tak samo, jak my trochę wcześniej na innych ulicach i na innych bazarach. Teraz my coraz głośniejszymi wołamy, że trzeba „to ukrócić”.

Swój, nie swój — dylemat wielu Polaków. Ktoś z żydowskim pochodzeniem, choćby od setek lat jego rodzina Polskę zamieszkiwała — to „nie swój”. Ktoś, kto przez dwadzieścia lat coś tam robił w Kanadzie i Peru, a teraz śmie stać po polską prezydenturę —

też „nie swój”. Jakże krótka jest ludzka pamięć! Kto dzisiaj zarzucałby premierowi **Paderewskiemu** najpierw amerykański, a potem szwajcarski paszport, kto prezydenta **Mościckiego** dyskredytowałby za podwójne obywatelstwo? Inna sprawa, że występuje tu wielka różnica formatu. Iluż polskich artystów ma podwójne obywatelstwo!

Jednak ksenofobia, a także wszystkie towarzyszące im zjawiska, psują obraz Polaka-Europejczyka. Lubimy Polaka — biskupa Rzymu czy Polaka — doradcę prezydenta USA, ale w Polsce Polakiem jest tylko „polski Polak”. Musimy spojrzeć w oczy przykrej prawdzie — potrzeba nam jeszcze wielu lat, by ponownie się zuropeizować. Dobro Polski polega nie na zamykaniu jej na skobel, lecz na ochronie dobrze pojętych jej interesów, na otwarciu dla partnerów i na braku kompleksów wobec nich.

JACEK ŚWIDZIŃSKI

Opinie

TYGODNIK KONFEDERACJI POLSKI NIEPODLEGŁEJ „OPINIA”, Redaguje zespół Redaktor naczelny — Krzysztof Król
Centrala 26-54-01 (w. 266 — Z-ca red. nac. 265, 26-66-34 — sekretarze redakcji). Adres: 00-920 Warszawa, ul. Nowy Świat 18/20.
Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Druk: Prasowe Zakłady Graficzne w Ciechanowie.